AS

Nr. 41

11 PAŹDZIERN. 1936

CENA 40 GROSZY



ZAMYŚLONA

Urocza artystka ekranu Ann Sothern.

Fot. Polonsky — Hollywood.

Nagrody
KONKURSU SPORTOWEGO



*Poniżej: Nagroda w dziale samochodowym — neseser skórzany z firmy **Ignacy Rybka**, Kraków, Florjańska 13.*

*Poniżej: Nagroda w dziale narciarskim — narty z wiązaniami z firmy **Stanisław Zubek**, Zakopane, Szkolna 1.*





*U góry: II nagroda w dziale jeździeckim — szpicruta z ozdobną rączką z firmy **Ignacy Rybka**, Kraków, Florjańska 13.*

Po wyszczególnieniu w poprzednim numerze „Asa" pierwszej części nagród, przyznanych przez jury w „Konkursie na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki", podajemy obecnie pozostałe. Otóż w dziale jeździeckim II nagrodę otrzymała p. majorowa Marja Borzysławska w postaci szpicruty z ozdobną rączką z firmy Ignacy Rybka, Kraków, Florjańska 13 (680 głosów), w dziale samochodowym p. Zofja Kannenbergowa — neseser z firmy Ignacy Rybka, Kraków, Florjańska 13 (751 głosów), wkońcu w dziale narciarskim p. drowa J. Jaśkiewiczowa — narty z wiązaniami z firmy Stanisław Zubek, Zakopane, Szkolna 1 (553 głosów).

Na zakończenie naszego konkursu sportowego, życzymy pięknym laureatkom i wszystkim uczestniczkom „konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki" sukcesów sportowych w zbliżającym się sezonie sportowym!

Redakcja.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 41 **Niedziela 11 października 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 41-GO:



Do niedawna się zdawało, że dziedziczka tronu holenderskiego ks. Julianna, córka królowej Wilhelminy, pozostanie na dobre starą panną! Krążyły oczywiście liczne, nieprawdziwe zresztą wersje o jej zaręczynach, aż wreszcie w ub. miesiącu rząd holenderski ogłosił oficjalnie zaręczyny księżniczki Julianny z ks. Bernardem Leopoldem zur Lippe-Biesterfeld. Narzeczony należy do jednej z „skromniejszych“ dawnych rodzin panujących Niemiec i jest bratankiem ostatniego panującego księcia. — Widzimy na naszem zdjęciu młodą parę w towarzystwie królowej Wilhelminy (po lewej) oraz matki pana młodego, odbierającą na balkonie zamku królewskiego w Amsterdamie hołdy rozentuzjazmowanych poddanych. *Fot. Keystone — Berlin.*

WITRAŻE
w Fryburgu i Turku.



„Zwiastowanie“ — witraż w kościele parafjalnym w Turku.



„Matka Boska Boleściwa“ — witraż w kościele parafjalnym w Turku.

W b. r. prof. Józef Mehoffer, ur. w 1869 r. obchodził w tym roku 40-lecie swej znakomitej działalności artystycznej. Pokaz jego dzieł urządzony w „Zachęcie“ był sumiennym sprawdzianem gigantycznej twórczości artystycznej artysty. Talent Mehoffera promieniował nietylko w witrażach, polichromjach i innych kompozycjach malarskich, lecz przedewszystkiem wywarł wielki wpływ na dusze młodzieży artystycznej, która znajdowała się pod urokiem talentu swego znakomitego przewodnika. Niestety uroczystości jubileuszowe poza entuzjazmem, jakie wywołały w umysłach licznych wielbicieli i uczniów artysty pozostały bez echa wśród czynników, decydujących o zamówieniach, zakupach i odznaczeniach.

Obojętność razi nas tembardziej, iż artysta nader rzadko występował publicznie z swemi zbiorowemi wystawami, a — spełnia od pół wieku przodującą rolę w tworzeniu polskiej sztuki i organizacji naszego artystycznego życia.

Już na pierwszej krajowej wystawie we Lwowie w r. 1894 otrzymał prof. Józef Mehoffer złoty medal za pierwsze kartony witrażowe. Rok 1896 zaważył na całem życiu artystycznem znakomitego malarza, który wówczas otrzymał na światowym konkursie pierwszą nagrodę za nadesłane projekty ozdobienia witrażami kolegjaty fryburskiej. Czyn ten rozsławił polską twórczość artystyczną po całym świecie. Młodemu artyście powierzyli Szwajcarzy wykonanie najważniejszej ozdoby artystycznej wspaniałego zabytku sztuki. Prof. J. Mehoffer niemal całe życie poświęcił wykonaniu 21 fryburskich witraży, z których dwa ostatnie zmienione w treści wykonał artysta w ostatnich latach. Kolegjata fryburska już w czasie wykonywania witrażu podniesioną została w r. 1924 do godności katedry, należało więc zmienić odpowiednio pierwotną kompozycję. Prof. Mehoffer wykonał tę pracę w sposób mistrzowski, wkładając w swe dzieło poza malarskim talentem sumienną wiedzę ikonograficzną i historyczną. W sierpniu 1936 r. ustawiono w prezbiterjum katedry dwa ostatnie witraże Mehoffera, wypełniające boczne okna absydy. Artysta podzielił okna na pięć pól, z których każde poświęcone jest odrębnemu epizodowi historycznemu. Witraż jeden opowiada historję miasta Fryburga a drugi jego życie religijne. U szczytu znajduje się postać Bertholda IV na koniu, z chorągwią purpurową w ręku. Z poza konia widoczna sylweta kościoła wzniesionego w miejscu, gdzie zbudowano dzisiejszą katedrę, poświęconą św. Mikołajowi z Myry. W następnem polu herold długą trąbą zwołuje zjednoczone kantony na pomoc apostolskiej stolicy. Tło znakomicie dekoracyjne wypełnia tiara papieska i sztandary kantonów. W poprzek rozpościera się wstęga z napisem „Obrońcy wolności i Kościoła“. Jest to tytuł, który otrzymali fryburscy rycerze za udział w wyprawach wojennych Juljusza II. Za tę również przysługę wojenną otrzymał Fryburg od stolicy papieskiej pomiędzy innymi także i przywilej podniesienia kościoła św. Mikołaja do godności kolegjaty. Ten historyczny fakt odzwierciedlił prof. Mehoffer, przedstawiając na jednem polu burmistrza Piotra Falka stojącego

Poniżej: Witraż przedstawiający podniesienie kolegjaty w Fryburgu do godności katedry.





Witraż w katedrze fryburskiej apoteozujący wszystkie stany Fryburga.

z tarczą ozdobioną herbem Fryburga i trzymającego w drugiem ręku bullę erekcyjną z r. 1512. Po obu bokach siedzą papież Juljusz II i Leon X. Na czwartem polu diakon śpiewa z księgi leżącej na pulpicie oświetlonym snopem światła. Na tle ołtarza prepozyt kościoła, w mitrze z pastorałem w ręku stoi zwrócony ku diakonowi, na przodzie zaś siedzą dostojnicy fryburscy. W ten syntetyczny sposób ujął prof. Józef Mehoffer dzieje miasta. W następnem polu przedstawiona jest lipa (symbol fryburski), a wkoło las



Fragment polichromji kościoła parafjalnego w Turku: „Chrystus dobry pasterz".

Poniżej: Fragment polichromji kościoła parafjalnego w Turku: „Chrystus w winnicy". (Wykonane w Zakładzie Witraży Żeleńskiego w Krakowie).





Prof. Józef Mehoffer w towarzystwie proboszcza kościoła parafjalnego w Turku, ks. prałata dr. Florczaka.

chorągwi, których czerwień miesza się z ostrą zielenią liści. W kole postać kobieca ukoronowana herbem trzech wież, (m. Fryburg), dalej oficerowie szwajcarscy i dzieci, u spodu data 1914—1918 przypominająca okres wojny światowej. U dołu symboliczna postać historji przędzie na kołowrotku nić dziejów.

Witraż poświęcony historji religijnej Fryburga przedstawia św. Mikołaja siedzącego na tronie biskupim w zielonym ornamencie i otoczonego herbami kleru św. Mikołaja. W drugiem polu artysta sławi postawę katolicką Fryburga w czasie reformacji, a w następnem polu udział miasta w walce z nią. Widzimy tu medaljony zasłużonych osób, jak portret prepozyta Kolegjaty Schneuwly'ego, z tytułem „ojca Ojczyzny", nadanym mu przez potomność. W drugim rzędzie nuncjusz Bonhomini, biskup Verceil, ojciec Piotr Canisius, a wreszcie proboszcz Sebastjan Werro. W następnem polu umieścił artysta Matkę Boską błogosławiącą herbowe wieże fryburskie. Po bokach klęczy dwóch urzędników modlących się. U góry unoszą się aniołowie, ubrani w zieloną tunikę z czerwonemi skrzydłami. Kompozycja ta w sposób prawdziwie podniosły odtwarza głęboką pobożność miasta. Pole dolne poświęcone jest przemianie Kolegjaty w kościół katedralny w r. 1924. W górze herb papieża Piusa XI, dalej biskup diecezji Besson z herbem biskupstwa Lozanny na piersiach. Z lewej, widzimy dawną kapitułę Kolegjaty przedstawioną w osobie kanonika w pelerynie futrzanej. U spodu umieścił artysta napis „Capitulum collegiatum insigne et exemplum ecclesia collegiata". Na prawo przedstawiono nową kapitułę katedralną w osobie kanonika we fioletach z datą 1924. U dołu napis „Capitulum cathedrale ecclesia cathedralis cum omnibus privilegis et juribus".

Fryburski dziennik „La Liberté" z 1 sierpnia 1936 r. w ten sposób wyraża swą wdzięczność polskiemu artyście:

„Winszujemy prof. Mehofferowi jego dzieła dokonanego w ciągu 40 lat. Dziś, gdy wielu artystów stosuje formy uproszczone i zubożone, prof. Mehoffer posługuje się w swej kompozycji historycznych figur, szlachetnym patosem wprawiając widza w podziw swym władczym rysunkiem, oraz olśniewając bogactwem kolorytu. Ma posunięcie genjalne. Pozwala sobie na nowości niemal zuchwałe. Wszelkie trudności są dlań zabawką, bo umie je przezwyciężać i chętnie nawet je poszukuje. W przeciwieństwie do ubóstwa pomysłów niektórych naszych szwajcarskich artystów, jego wyobraźnia jest niewyczerpana. Pomnaża symbole, nagromadza szczegóły i motywy dekoracyjne i wyznać trzeba, że często przygniata niemi nieraz widza daremnie wyszukującego spokojnego miejsca, w któremby wzrok mógł odpocząć. Obok zalet artystycznych podnosimy teologiczne odczucie prof. Mehoffera zawsze tak niezawodne, oraz jego głębokie zainteresowanie historją Fryburga i dziejami jej katedry, zaco jesteśmy mu niezmiernie wdzięczni. Uposażył on nasz starożytny kościół w epokowe dzieło sztuki, które dotąd wzbudzało i nadal wzbudzać będzie podziw wśród turystów, zwiedzających nasze miasta. Wyrażamy w imieniu miasta, polskiemu artyście wdzięczność, iż stworzył dla nas świetne dzieło, najcenniejszą pracę swego życia".



Witraż wykonany dla kościoła na Helu, przedstawiający walkę rybaka z żywiołem morskim.

W ten sposób cudzoziemcy wyrażają się o talencie naszego artysty, który nie spoczywa na laurach, lecz powodowany wewnętrzną potrzebą i temperamentem malarskim, tworzy bez wytchnienia swe dzieła. Nie dla pałaców Rzeczypospolitej, nie dla katedr, lecz dla wiejskich kościółków — niestety!

Dziwną jest nieekonomja kulturalna Polski, skazująca swych największych twórców na bezrobocie, a protegująca i popierająca natomiast niedojrzałość artystyczną, dlatego jedynie, iż jest młodą. Plafony wawelskie, to ostatnie ostrzeżenie dla ducha naszego czasu!

Prof. Józef Mehoffer dzięki inicjatywie ks. dra Florczaka, b. prokuratora „Roty" rzymskiej, którego los rzucił z „Wiecznego Miasta" do Turka, otrzymał zlecenie na wykonanie polichromji parafjalnego kościoła, zbudowanego w stylu neogotyckim w r. 1900, przez architektów ojca i syna Jarosławów Wojciechowskich. Prof. Mehoffer z skromne-

Dokończenie na stronie 10-ej.

Poniżej: Witraże katedry fryburskiej, ilustrujące historję miasta Fryburga.

Zdjęcia: Fot. „AS".



KRÓL gastronomji francuskiej



na lewo: Pierwszą zasadą dobrego kucharza jest wejście w osobisty „kontakt“ z potrawami!

Profesor Pomian-Pożerski przyjmuje mnie w swej pracowni w Instytucie Pasteura w Paryżu. Od trzydziestu lat zajmuje tu stanowisko kierownika laboratorjum fizjologicznego i bakterjologicznego. Od chwili swego doktoratu nauk przyrodniczych całe życie poświęcił fizjologji. Od 25-ciu lat stosuje swe teorje do popularyzacji problemów kuchni, zauważywszy, że nikt tego nie uczynił przed nim. Krząta się teraz po swem laboratorjum w kitlu równie białym, jak sarmacki wąs, a ja oczu oderwać nie mogę od tej pięknej, pogodnej, mądrej twarzy. Krząta się; jednocześnie mówi po polsku:

— Nikt nie znał jednocześnie dwóch nauk: fizjologji i gastronomji. A że uczony zasklepia się w swych pracach ściśle naukowych, kucharz zaś nie potrafi wznieść się do poziomu uczonego, panował więc między nauką a kuchnią zupełny rozbrat. Uczeni pogardzali kucharzami. Należało zdobyć się na odwagę. Ukryłem nazwisko swe w pseudonimie i zeszedłem do kuchni. W ciągu piętnastu lat nikt nie wiedział, że profesor Pożerski to Pomian... Kuchnia jest subtelną sztuką. Ta sztuka to — „gastrotechnika“, według mego określenia z 1920 roku. Przekonali się do niej i uczeni i artyści. Należało jednak dosięgnąć szerokich sfer społeczeństwa. Wydałem książkę kucharską, zawierającą 700 recept. I zdałem sobie sprawę, że nie osiągnąłem celu. Rozpocząłem więc dalsze wydawanie książek, przyjmowałem zaproszenia na wygłaszanie cyklów odczytów w przeróżnych instytutach i towarzystwach, wykładam regularnie od lat przez radjo... Uczę ludzi racjonalnego stosunku do kuchni, uczę ludzi jeść... Ma zasługa polega właściwie jedynie na wynalezieniu i sformułowaniu sześciu zasad niezwykle prostych, zasad fizyki i chemji stosowanej. Całą wiedzę kuchni podzieliłem na sześć działów: gotowanie w wodzie, smażenie, pieczenie, duszenie, związki krochmalne, zwązki na żółtkach. Poza temi sześcioma technikami nie znajdzie nikt innej!

Pozwolę sobie na dygresję.

Raz miałem możność przysłuchania się odczytowi mego rozmówcy. Na sali eleganckie damy, wyżsi oficerowie, córki najwyższych dostojników... Prof. Pomian w białym fartuchu uwija się przed katedrą, zastawioną naczyniami kuchennemi i palnikami gazowemi. Wykłada, a jednocześne przyrządza. Jest on zdania, że nie mamy dziś czasu na długie gotowanie. Każdą potrawę, przyrządzoną według jego recept, można przygotować w ciągu dziesięciu minut. Jego pogadanka trwa godzinę. Najmniej sześć smakowitych potraw gotowych, gdy nadchodzi pora gorących oklasków! Co rok prof. Pomian potrafi inaczej ująć swój temat. W r. b. nazwał pierwszy ze swych wykładów „allegro“, drugi „largo“, trzeci „scherzo“, czwarty „allegro final“... Pięćset osób obecnych było na tych wykładach! Ten doktór medycyny, uczony, wykładający zasady swej gastrotechniki, jest zarazem poetą słowa, czarującym największe audytorjum. Słyszę go jeszcze żonglującego pojęciami muzyki i gastronomji wobec ludzi, dla których pojęcie „symfonja“ bliższem jest, niż pojęcie „kuchnia“... Mówił:



Prof. Pomian-Pożerski tłumaczy tajniki gastronomji

— Początek obiadu jest lekki, jak pierwsza część symfonji; lekki, pełen kolorytu... Rolą fizjologiczną takiego wstępu jest pobudzenie naszego apetytu. Posłuchajcie, proszę, lub raczej... popatrzcie! Każda z potraw, którą zamierzam dziś przyrządzić będzie takiem „allegro“, „entrée“. Zaczynam od słonych ciasteczek z serem, potem jajka smażone, muszelki św. Jakóba, kotlety cielęce z chrzanem, to — „allegro“ krajów północnych, z oliwkami Prowansalji.

Są też kanapki ze serem, na śniadanie omlet...

Drugi odczyt poświęcony „largo“ lub „adagio“. Potrawy, wyrażające: przyjaźń, tradycję, patrjotyzm, sympatję... W ciągu godziny wykładający upiekł koguta, koguta w cieście, udusił szczupaka, nie zapominając o sobie, przygotował hiszpańskie „paelia“, rodzaj rizotto z kawałkami kury, ryby, ślimaków... Są też nerki, zapiekane na bakonie i palone na Armagnac'u... Jest i szaszlyk gruziński i kołduny litewskie...

Oto „allegro“ i „largo“ symfonji, skomponowanej przez naszego rodaka.

Wracajmy jednak do rozpoczętej rozmowy:

— Istnieją dwa sposoby gotowania. Pierwszy bez uwzględniania żadnych zasad zdrowotnych; obiady przygotowane według tych zasad powinniśmy zachować na „wielkie koncerty“, wielkie przyjęcia, prawdziwe rozrywki estetyczne. Drugi — to... „muzyka kameralna“, obiady amatorskie, proste codzienne. Czem potrawy są prostsze, tem wymagają większej uwagi. Zyska na tem zresztą i zdrowie, i kieszeń, i humor, i apetyt. Naprzykład gotujemy kartofle Czy pamiętamy wziąć grubą sól i utłuc ją? Czy dbamy o czas gotowania i o kawałek doskonałego masła?... Ugotowanie jajka, ryżu, czy makaronu, potraw na pozór najprostszych, wymaga również uwagi na pozorne szczegóły... Tak: kuchnia jest sztuką jak malarstwo i muzyka. Czem jest sztuka? Czemś, co kształci, wznosi, wzrusza umysł i uderza zmysły. Malarstwo uderza zmysł wzroku, muzyka — zmysł słuchu, potrawa zkolei działa na zmysł smaku, powonienia, a nawet i wzroku. Lecz sztuki nie można się nauczyć. „Ucząc“ się muzyki, studjuje się raczej harmonję, więc naukę podstawową. W podręczniku fizyki znaleźć to można w rozdziale zatytułowanym „akustyka“... To samo w malarstwie; człowiek uczy się perspektywy, anatomji, nauki o kolorach. Tylko natchnieni zostaną artystami; pozostali — technikami. Na tej podstawie łatwo zrozumieć nazwę mej „gastrotechniki“. Problem zasadniczo wygląda inaczej we Francji, gdzie każda pani gotuje sama, a w Polsce, gdzie pozostawia to kucharce... I dlatego łatwiej to wytłumaczyć we Francji, bo inteligentna osoba gotując, pragnie rozumieć to, co robi.

Dziś, co rano, radjo ogłasza rady kulinarne Pomiana... Lecz jak doszedł on do tej popularności?

— Zaczęło się raczej przypadkowo. Gdy służyłem w wojsku, względy oszczędnościowe nie pozwalały mi spędzać chwil wolnych od służby na zabawie z kolegami. Jak pan wie, przeszedłem „Polską Szkołę Batiniolską“ wraz z innymi synami emigracji polskiej. W Polsce wyobrażano sobie, że my tu zapijamy się we Francji szampanem, nie wiedzieli nawet, w jak trudnych żyjemy warunkach i z jakiem natężeniem pracowaliśmy dla odrodzenia ojczyzny! Gdy w szkole dostawałem trzy razy na tydzień po jabłku, to nosiłem je do domu, by podzielić na cztery części, by obdzielić całą rodzinę. Otóż koledzy pytali mnie o powód mego pozostawania w koszarach. Odpowiadałem, że piszę książkę, co nie było prawdą! Wreszcie któregoś dnia przyparli mnie do muru: „pokaż, coś napisał! O czem?“ — Nie było rady. Zasiadłem do pisania i pospiesznie naszkicowałem to, co na temat odżywiania myślałem. Lektura tych kartek wywołała entuzjazm mych przyjaciół i zachęciła mnie do dalszej pracy w tym kierunku. Gdy książka była gotowa, nie znalazłem jednak wydawcy... Uratował mnie... zając z buraczkami „po polsku“! Słynąłem już jako gastronom! Raz, zaproszony na przyjęcie do pewnej damy, na jej prośbe wykonałem „jakąś oryginalną potrawę“; był to właśnie ów zając. Przy stole, wśród in-

(Dokończenie na str. 10-ej).

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Jak już donosiliśmy, w nowym sezonie nastąpiło dość poważne ożywienie w związku z dewaluacją pieniędzy w szeregu krajów. Dewaluacja pociąga bowiem za sobą ucieczkę od gotówki, a jak już tyle razy pisaliśmy, znaczki są dobrą lokatą dla niewielkich kapitałów, lepszą w każdym razie, niż okazały się ostatnio franki szwajcarskie.

W całym szeregu państw ukazało się mnóstwo nowości, tak że musieliśmy najpierw uwzględnić egzemplarze, posiadane dawniej w tece, a opis bardzo ciekawej serji dobroczynnej niemieckiej: „Nothilfe" zamieścimy w następnym numerze.

Tydzień temu reprodukowaliśmy pierwszy znaczek z serji propagandowej francuskiej z okazji światowej wystawy paryskiej, która odbędzie się w Paryżu w przyszłym roku. Serja ta obejmuje kilka sztuk, a teraz zamieszczamy wartość za 90 c. o motywie alegorycznym (z firmy H. Kurek, Kraków, Karmelicka 18). Kolor czerwony, na wartości za 1.50 fr. niebieski.

Druga dopiero kobieta po żonie Waszyngtona, doczekała się zaszczytu reprodukowania jej wizerunku na znaczku pocztowym w Stanach Zjednoczonych. Jest nią Suzanna Anthony, która znaną jest jako jedna z najbardziej zasłużonych w walce o głosowanie dla kobiet. Widać odrazu, że znaczek ten (ze zbioru p. J. Seegin) mimo nieszczególnego stempla, jest jednak bardzo ładny, w kolorze fioletowym, wydrukowany artystycznym miedziorytem, nie tak jak wyżej opisana Francja — litografją.

W Bułgarji odbył się IV Kongres słowiańskich geografów i etnografów. Znaczek reprodukowany (ze zbioru p. Skwirzyńskiego) za 7 lewów, jest ciemno-niebieski, a i inne wartości są niewątpliwie o podobnych motywach. Są one drukowane na papierze kredowym, niezmiernie wrażliwym, gdyż cały połysk znika zupełnie po zmyciu wodą, a doświadczyło tego już wiele osób, które „wykąpały" solidnie



Najnowsze znaczki: 1) francuski wydany z okazji Wystawy Międzynarodowej w r. 1937, 2) czechosłowacki, przedstawiający historyczny zamek Živikov, 3) bułgarski, wydany spowodu IV. Kongresu Geografów Słowiańskich, 4) Stanów Zjednoczonych, przedstawiający pionierkę emancypacji kobiet, Susan A. Anthony.

nasze znaczki z Szopenem i St. Wojciechowskim tak, że pozostał im tylko biały papier. Znaczki takie właściwie najlepiej zbierać tylko niestemplowane, bo używane, zachowane idealnie, trafiają się bardzo rzadko. Podobnie przedstawia się sprawa z angielskiemi znaczkami, drukowanemi w kolorze zielonym, który zmienia się w wodzie albo na niebieskawy, albo wogóle traci ton. Ten, kto nie posiada katalogu, gdzie zaznaczone jest ostrzeżenie przy „wrażliwych" na wodę barwach, narażony jest na wielkie straty, bo zbieracze wolą często nawet znaczek prześwietlony, a ładnie stemplowany, od „niby" nieuszkodzonego, a zasmarowanego stemplem i o wyblakłym kolorze.

Obok angielskich wydań zdarza się to najczęściej przy najstarszych rosyjskich, Bułgarjach, Austrjach z kredowym nadrukiem, a także niemieckich dobroczynnych typu „herby w owalu". Trzeba więc odklejać takie marki niezwykle starannie: kładzie się je w ten sposób na ciepłą wodę, aby powierzchnia nie została zmoczona i trzeba czekać dość długo, aż papier z koperty zupełnie nie przewilgnie, wówczas sam lekko się odlepi.

Przy heliograwurze używa się znowu farb o innym składzie chemicznym i np. włożenie znaczka serji zeppelinowej (niemieckiego) do benzyny dla zbadania znaków wodnych, da w wyniku zupełne zatarcie konturów rysunku.

Tembardziej cenić należy znaczki, drukowane drukiem wklęsłym (sztychy), gdyż muszą one być odporne na wilgoć i dotknięcie metalowych przedmiotów. Takim jest też nowy znaczek ze serji krajobrazowej czeskiej (z firmy Chomentowski, Kraków, ul. Sławkowska). W.H.

★ ★ ★

Adresy zbieraczy: Jerzy Skwirzyński, Wielopole 13 m. 6.

Aukcje: Dorotheum (Wiedeń, Dorotheengasse 17) 13 i 14 października. (Niemcy i Austrja).

Nowy Klub Filatelistyczny: Polska YMCA, Kraków, Krowoderska 8, organizuje Klub Filatelistów. Posiedzenie inauguracyjne odbędzie się w dniu 16 b. m. o g. 19.30 w sali klubowej (parter). Na zebranie to Zarząd zaprasza wszystkich miejscowych zbieraczy, którzy są lub też pragną być członkami Polskiej YMCA.



LORD COCTAIL AND MR. GIN

JERZY JESZKE

N O W E L A

Spotkali się w barze przy bufecie. Niski, barczysty marynarz popijał whisky, a wysmukły gentleman raczył się kieliszkami brandy. Kilka razy przelotnie, mimowoli spojrzeli sobie w oczy, jak to bywa często przy bufecie. Tak spoglądają na siebie ludzie, których oddziela przepaść zwana sferą.

Wytworny gentleman nosił na sobie piętno rasy, zamieszkującej West-End. Jego ubranie skrojone było nienagannie i jak to się mówi „brand-new".

Ten drugi zaliczał się do ludzi, których taksowano wspólną nazwą „blue jacket".

Marynarz miał ruchy źle wytresowanego niedźwiedzia, a gentleman był w każdym calu salonowcem. Jego sposób picia, ruch ręki, jakim zwracał się w stronę barmana o napełnienie nowego kieliszka, wskazywały na wrodzoną umiejętność kierowania ludzkim zaprzęgiem. Zresztą całem swojem zachowaniem dawał do poznania, że znajduje się w tym lokalu zupełnie przypadkowo. Obecność stojącego obok marynarza, opartego całym ciężarem ciała o bufet, wyraźnie go krępowała. Ten sposób bycia taksowano w jego języku jednym wyrazem: shocking.

Coś po piątej kolejce whisky zachowanie marynarza stało się wprost nieznośne i prowokujące. Zaczęło się od tego, że rozparty szeroko sąsiad stuknął, niby niechcący, gentlemana łokciem. Wytworny mężczyzna zareagował spojrzeniem pełnem pogardy i wyższości. To wywołało skolei szeroki uśmiech na czerwonej twarzy marynarza. Spojrzenia obu zwarły się jak dwie ostre klingi.

— Coctail! — zawołał głośno gentleman, stukając złotym sygnetem w oszklony brzeg bufetu.

— Gin! — huknął prawie równocześnie marynarz.

Dźwięczało to jak wyzwanie, po którem nastąpiła chwila złowróżbnej ciszy. Słychać tylko było bulgotanie nalewanych napojów. Przed marynarzem stała duża szklanka ginu, a tymczasem mixter układał w stojącym obok kielichu kolorowe warstwy likieru i wina. Trwało to dłuższą chwilę. Marynarz przyglądał się z zaciekawieniem tej „kolorowej zabawie" i wyraźnie czegoś oczekiwał.

— Ciekawy typ — pomyślał gentleman, popijając następny kieliszek coctailu. Gdzie ja tę twarz widziałem? — usiłował przypomnieć sobie, obrzucając ukośnem spojrzeniem baryłkowatą postać marynarza. Stanowczo jest w nim jakiś rys podobieństwa. Ale do kogo? — oto jest pytanie. Ta czerwona, nalana twarz ze sterczącym pośrodku, nieforemnym mięsistym nosem, te wargi obleśnie wywinięte, oczy azjaty, niskie wysadzone czoło, zmierzwiona w nieładzie ruda czupryna, wszystko to przypominało raczej fotografję z albumu przestępców, niż kogoś widzianego z bliska, kogoś ze „sfery".

W pewnej chwili szukające, badawcze spojrzenie Lorda spotkało się z niezwykle przenikliwem i sondującem spojrzeniem sąsiada.

— Te oczy! te oczy! widziałem z bliska — zauważył w przerażeniu. — Coctail! — zawołał, starając się jakby zagłuszyć wrażenie tego niesamowitego odkrycia.

— Gin! — powtórzył jak echo marynarz.

I znów zaległa cisza, przerywana przyspieszonym bulgotem nalewanych trunków.

Smukła i wytworna sylweta Lorda, jak gdyby się wewnętrznie załamała. Trzymający się dotąd „fair", wsparł się nagle całym ciężarem ciała o bufet. Na dźwięk stawianej obok szklanki poderwał się jak obudzony z ciężkiego snu i jednym zamachem głowy wychylił całą jej zawartość. Poczuł ostry, piekący ból w przełyku, któremu towarzyszył równie ostry śmiech sąsiada.

— Ha, ha! — rechotał gruby marynarz. — Mój gin, Lordzie Coctail! Mój gin!

Obleśne wargi rudego drżały w czkawce niepohamowanego śmiechu. Jego czerwona twarz kurczyła się, jak płat mięsa, przypiekanego na rożnie.

Gentleman patrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

Ten śmiech, te oczy, rzadkie i wyleniałe brwi, te słowa przypomina sobie teraz doskonale.

— Mój gin, Lordzie Coctail! Mój gin!

Tymczasem marynarz, wyśmiawszy się do syta, zbliżył się wolno do złamanego zupełnie gentlemana. Z miną człowieka zadraśniętego na honorze, wycedził przez zęby.

— Lord Coctail, radzę stąd wyjść!

— Ależ my się skądś znamy, mój panie, — bełkotał Lord.

— Pan wybaczy — przerwał, trzymając ręce w kieszeniach marynarz, — ale ja nie znoszę towarzystwa pijanych lordów, a poza tem ośmielił się pan wypić mój gin.

Lord Coctail stał, wpatrując się bystro w oczy mówiącego. Tak. Zna tego człowieka. Spotkał się z nim niegdyś twarzą w twarz. Przypomina sobie nawet ten charakterystyczny odór ginu, ziejący z otwartych w szerokim uśmiechu ust. Zajęty całkowicie przypominaniem szczegółów i okoliczności, w których przypuszczalnie mógłby poznać tego człowieka, nie zwracał nawet uwagi na słowa obelgi. Całe to zajście zresztą zwróciło już dawno oczy obecnych na jego osobę i należałoby je szybko zlikwidować. Czuł poza tem, że działanie ginu wzmaga się z każdą chwilą i że wzrasta w nim jednocześnie brutalna chęć szukania zaczepki i awantury. Czekał tedy z miną pełną godności i zdawał się nie brać udziału w ośmieszającej go scenie. Marynarz tymczasem, małpując jego wytworne ruchy, pił kolorowy coctail.

Dopiero po upływie kilku minut gentleman poprosił o rachunek i milcząc, skierował się ku wyjściu.

— Do zobaczenia na „Atlantydzie" — zawołał marynarz na pożegnanie!

PRZED WYSTĘPEM NA DESKACH MUSIC-HALLU.
Urocza artystka Beverly Bemis. *Fot. Polonsky — Hollywood.*

Kiedy Lord Coctail opuszczał próg baru, na miasto kładł się miękko i bezszelestnie czarny puch mroku. Nad głową zakołowało nagle niebo, a ziemia zachwiała się i poczęła gwałtownie uciekać spod nóg. W mózgu panował nieopisany zamęt, jak na płonącym okręcie. Załoga biegała w panice, trzaskały zwalone przęsła, a blady sygnalista raz po raz nadawł trgiczne S. O. S.

Lord Coctail zdawał sobie sprawę, że znajduje się w innym wymiarze. Zgubił się poprostu w czasie i przestrzeni. Nie! to raczej on sam pozostał w barze! A tu, chwiejąc się, idzie ulicą jego załamany arystokratycznie cień. Tam zostały jego oczy wpatrzone w oczy tego drugiego, czerwonego bootsmana.

— Dokąd iść!? Zapytywał siebie zakłopotany.

Napróżno usiłował odczytać nazwę ulicy z oświetlonej jasno latarki narożnego budynku. Litery plątały się, tworząc niesamowite zygzaki. Poza tem wszystko było za mgłą. Domy stanowiły jedną zwartą nieruchomą masę. Jezdnia falowała. Tak! Działanie ginu było było oszałamiające i niezwykłe. Nie był już Lordem. Tu ulicą szedł jego zniekształcony sobowtór.

— Gdzie ja tę twarz widziałem? — usiłował przypomnieć sobie po raz może setny.

I raz po raz wracały mu do świadomości słyszane niegdyś wyrazy.

— Mój gin, Lordzie Coctail! Mój gin!

Tymczasem obrazy wschodziły i zachodziły. Twarz marynarza stawała się bardziej wyrazistą, to znów zacierały się jej kontury.

Noc już była głęboka i zegary biły z wież, kiedy Lord Coctail, krążąc wśród ulic, znalazł się znów w progu baru, z którego wyszedł z nastaniem mroku. Wytrzeźwiał prawie zupełnie, tylko jedna myśl uparcie jak robak toczyła korę jego mózgu. To też doznał wielkiego rozczarowania i zawodu, gdy wśród gości, stojących przy bufecie, nie znalazł czerwonej twarzy marynarza.

Barman wyjaśnił, że bootsman po wypiciu coctailu był już zupełnie „dobry" i wygrażał się Lordowi. Mówił, że nie zapomni mu zniewagi wyrządzonej niegdyś przed laty. Breakdown, break-down — powtarzał w kółko i tłukł kosmatą łapą o bufet. A potem zataczając się, wyszedł.

Lord Coctail wymownym ruchem ręki podziękował barmanowi, upewniwszy się uprzednio, że pijany bootsman znajdować się może w chwili obecnej w jednej z podrzędnych knajp w pobliżu portu.

— Muszę go odnaleźć — powtarzał sobie z uporem Lord Coctail.

Lord Coctail zatrzymał taxi i kazał wieźć się pełnym gazem w kierunku portu. Przy pierwszej knajpie o podejrzanym wyglądzie wysiadł. Po krzywych, wydeptanych schodach, dostał się do wnętrza spelunki, ziejącej odorem alkoholu. Darło się tu kilkunastu pijanych marynarzy przy wtórze ustnej harmonijki. Zapite głosy kobiet mieszały się w tym chórze, tworząc istny sabat czarownic.

Na wchodzącego Lorda nikt nawet nie zwrócił uwagi. Dopiero po pewnym czasie dowiedział się, że „rudy" był przed chwilą, potrzaskał dwa stoliki i wyszedł.

Lorda Coctail ogarnęła jakby gorączka poszukiwania. W jednej z knajp omal nie dostał w głowę rzuconym w czasie bójki kuflem. Wszędzie prawie natrafiał na ślady „rudego", jak go nazywali marynarze. Był zresztą wśród nich jednostką bardzo popularną. Słynął ze swej siły i skłonności do awantur.

Zrezygnowany i udręczony długiem poszukiwaniem udał się Lord Coctail nad brzeg morza. Wyczerpany całkowicie usunął się na przybrzeżne głazy i wsłuchiwał się w monotonny szum fal.

— Mój gin, Lordzie Coctail! Mój gin! — powtarzało spienionym rytmem morze.

Ukołysany tym refrenem Lord Coctail pochylił głowę i zasnął ciężkim, twardym jak przybrzeżne głazy snem.

Był świt i mewy ostrym krzykiem rozdzierały zwisającą nad morzem mgłę.

Lord Coctail otworzył wolno powieki i spoglądał zdziwiony dokoła.

— Gdzie jestem? — zapytywał siebie, spoglądając na zmięte i pokryte lepkim mułem ubranie.

Jakby w odpowiedzi przedarł się poprzez gęstą mgłę zachrypnięty, przerywany czkawką śpiew.

Wytężając wzrok, ujrzał Lord Coctail baryłkowatą postać chwiejącego się we mgle człowieka.

— To on — rozpoznawał zupełnie dokładnie lord Coctail, podążając za chwiejącą się postacią.

Mrucząc dalej swą pieśń i potykając się o głazy, schodził gruby bootsman w stronę morza. Stała tu łódź przymocowana do brzegu i Lord Coctail odczytał wyraźnie napis — „Atlantyda".

Tymczasem marynarz, jakby pragnąc się popisać przed sobą samym zręcznością, stanął na burcie łodzi i balansując całem ciałem, szedł na drugi jej kraniec. W pewnej chwili zachwiał się silniej i Lord Coctail usłyszał plusk ciała, wpadającego do morza. Śpiewana przepitym głosem pieśń przerwała się nagle w połowie bulgotem wnikającej do ust wody.

Lord Coctail znalazł się jednym skokiem w łodzi. Szybkim ruchem zdarł ze siebie marynarkę i skoczył w stronę szamocącego się z falą człowieka. I teraz, kiedy ich oczy zwarły się w momencie niebezpieczeństwa, Lord Coctail przypomniał sobie wszystko doskonale.

Nie namyślając się wiele, silnem uderzeniem pięści zdzielił marynarza w głowę i ogłuszonego schwycił mocno za rudą czuprynę. Szamocąc się z oblegającym go żywiołem, przyciągnął wreszcie obezwładnionego bootsmana do buryty i siłą prawie nadludzką wrzucił go na dno łodzi.

Kiedy gruby bootsman odzyskał przytomność, dłoń Lorda wyciągnęła się w jego kierunku.

— No, teraz przypomniałem sobie nareszcie! Trzeba było dopiero napić się trochę słonej wody. Ale opłaciło się wszystko. Pan jest z „Atlantydy". To znaczy, że zgadza się wszystko co do joty. Pan mi niegdyś uratował życie. Jeśli się nie mylę, było to przed dziesięciu laty. Wpadłem wtedy do morza, zachwiany większą ilością wypitych coctailów. Pamiętam. Była noc podobna do tej, którą przeczekałem tutaj, siedząc na skale. Długo się męczyłem, aby sobie pana przypomnieć, bootsmanie. I teraz wreszcie znalazłem klucz do tego tajemniczego szyfru: „Mój gin, Lordzie Coctail". Wypowiedział pan te wyrazy, skacząc za burtę i powtarzał je pan stale w morzu, szamocąc się z falą. Pewno, wpadając do morza, przerwałem panu popijanie ginu.

— All right — potakiwał „Rudy".

— Nie podziękowałem panu osobiście za ocalenie — mówił dalej Lord — dałem tylko 50 funtów napiwku. Bardzo pana przepraszam za gruby nietakt, panie bootsmanie. Oto moja dłoń.

— All right!

Lord Coctail i Mr. Gin, uścisnęli sobie mocno dłonie.

Dokończenie ze strony 5-ej.

go kościółka parafjalnego stworzył mocą swego talentu potężne dzieło sztuki, promieniujące nietylko na okolicę, ale i kraj cały.

Artysta utrzymał polichromję w stylu rodzimego gotyku, przetłumaczonego na bogaty język jego barw i form. Dla ołtarza głównego skopjował obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zdobny w sukienkę, skomponowaną w złoconym bronzie. Wnętrze kościoła należy do jednych z najpiękniejszych, gdyż mogła w niem wypowiedzieć się nieskrępowana wola i duch artysty. Nic dziwnego, iż ks. proboszcz Florczak otrzymał za tak szlachetną inicjatywę złoty krzyż zasługi. Oby takich krzyżów zasługi rozdano jak najwięcej!

Poza polichromją kościoła w Turku, prof. Mehoffer zajęty jest obecnie wykończaniem swych kompozycyj stacji męki Chrystusa, dla klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie. Wykonał również karton witrażowy dla kościółka na Helu, dotychczas nie zrealizowany.

Jak widzimy talent prof. Józefa Mehoffera tworzy dzieła pełne polotu i mistrzowskiej dojrzałości arystycznej.

Szkoda tylko, że w Turku, Helu i Biechowie, a nie w Warszawie i innych miastach Polski!

Marjan Dienstl-Dąbrowa.

„FUNDUSZ OBRONY MORSKIEJ musi być uważany za równoległy z FUNDUSZEM OBRONY NARODOWEJ: każdy kto składa ofiarę na obronę morską, dopełnia tem samem obowiązku obywatelskiego względem Funduszu Obrony Narodowej"

(Z oświadczenia, złożonego w dniu 29.VI 1936 przez gen. dyw. K. Sosnkowskiego, Prezesa Zarządu FOM, w imieniu Prezesa Rady Ministrów)

Dokończenie ze str. 6-tej.

nych gości, znalazł się Tristan Bernard, wybitny pisarz francuski i... smakosz. Nowa potrawa tak mu zasmakowała, że zapragnął pójść do kuchni uścisnąć rękę kuchmistrza. Ku swemu zdumieniu dowiedział się, że „autor" tego arcydzieła kulinarnego siedzi obok niego. Wywiązała się rozmowa, w rezultacie której Bernard poparł mą pierwszą książkę. Odtąd różnych dzieł gastronomicznych wydałem piętnaście...

Nazajutrz po ukazaniu się tej pierwszej książki telefonowano do autora, zapewniając go, że otrzyma nagrodę Akademji Francuskiej z punktu widzenia dzieła literackiego!

Zamyśla się sympatyczny rozmówca i dodaje:

— W całej mej pracy gastrotechnicznej i gastronomicznej miałem jeden cel na widoku: dać dobrobyt rodzinie! Ognisko domowe jest tam, gdzie pali się ogień pod garnkiem z gotującą się strawą. Kuchnia staje się więc podstawą szczęścia. A rodzina to naród, to ludzkość! **Zygmunt Frenkiel** (Paryż)

w kraju olejka różanego

Mijamy tu i ówdzie przylepione do skał małe, groźnie najeżone wieżyczkami, zameczki. Pijąc szampana bułgarskiego — 1 zł. za butelkę — dojeżdżamy do Sofji. Wrawdzie ten „szampan" więcej robi huku, strzelając korkiem i większe wrażenie złotą etykietą, niż smakiem, ale za tą cenę dobre jest nawet młode, musujące wino.

Tanie i dobre wino i papierosy — stwarzają momentalnie przychylną opinję o danem państwie. Tak było też z nami. Tem więcej, że przychylność tę zwiększają miłe, o ciemnej cerze, obowiązkowo czarnych włosach, Bułgarki. Odznaczają się wprawdzie cnotliwem bardzo życiem, co specjalnie uderza po przyjeździe z Rumunji, niemniej wiele robi egzotyka ich piękna.



Motyw z okolic Sofji.

Samemu miastu w największej mierze bodaj nadaje pewien charakterystyczny typ — ogromna cerkiew Aleksandra. Narzuca to miastu, przy dużej jego rozłożystości, wygląd przedwojennych miast rosyjskich. Z ciekawych zabytków wysuwa się na czoło stara cerwiewka z V w. Wybudowana podobno przez córkę cesarza Justynjana — Sofję, stała się źródłem obecnej nazwy stolicy w miejsce dawnej Serdica. Stare mury kościółka, otoczone srebrnemi świerkami, dostojne wiekiem, zdala są od zgiełku, który otacza nową, przykrywającą zdawałoby się, całe miasto swojemi kopułami złocistemi — cerkiew Aleksandra Newskiego. — Wśród licznych pamiatek, gromadzonych tutaj w stolicy dzielnego narodu, bardzo ciekawa jest armata z drzewa wiśniowego, którą używano w r. 1876 w walkach z Turkami. To bodaj najlepiej świadczy, w jakich warunkach Bułgarzy zdobywali wolność!

Na ulicach spotyka się poczciwe osiołki, które tutaj wbrew rozsiewanej niekorzystnej opinji, są bardzo pracowite i ciągną ogromne stragany, naładowane rozmaitemi towarami. Chętni zatrzymują wędrowny magazyn, wybierają krawat czy skarpetki, a osioł jedzie bez oporu dalej. Zmonopolizowanie osłów w „postaci zwierzęcej" jest dalszym dowodem przysłowiowego sprytu południowców.

Wszędzie, na wystawie, w hotelu, u przekupniów ulicznych, znajdują się małe ampułki drewniane, ozdobione pięknemi motywami ludowemi. To cenny olejek różany, naturalny monopol Bułgarji, w której znajduje się słynna „dolina róż". Kwiaty te przywędrowały z Indyj do Persji i przez Małą Azję do Bułgarji. Stanowią one konieczny substrat wszelkich perfumeryjnych wyrobów Europy i Ameryki. Olejek ten otrzymuje się w ilości 1 kg. z 2500 kg. czerwonych, wzgl. 5000 białych róż! Eksport wonnego ekstraktu stanowi ogromną pozycję w budżecie państwa.

Przy zakupach w sklepach barwnych wyszywanek czy innych pamiątek, zdarzają się czasem zabawne nieporozumienia. Wszystkiemu winien język... słowiański. Dla Polaka język bułgarski wydaje się bardzo łatwy. Idzie się do sklepu, pyta o to, czy o owo, słyszy się w odpowiedzi: ima, ima. Inteligentnie upadabnia się to do naszego: niema i zmartwiony wychodzi. Tem więcej, że połączony z tem jest ruch głową, podobny do naszego przeczenia. Dopiero po zwiedzeniu większej ilości sklepów z tym rezultatem — przypadek rozwiązuje nieporozumienie. — Ruch głową poprzeczny jest potwierdzeniem. Odwrotnie ponoć wydarzyło się jednemu z moich znajomych. Bułgarki są piękne, tem egzotycznem pięknem — Polacy są za krewcy. Gdy przyszło do umawiania się językiem „słowiańskim", t. zn. każdy po swojemu — u Bułgarki nastąpił bardzo skwapliwy ruch potakujący głową. Znowu potem przykre rozczarowanie, bo to było przeczenie!

Charakter egzotyczny stolicy specjalnie podkreślają przedmieścia. Domki wprawdzie są jak wszędzie małe i zapadające się w ziemię, ale zato barwne charakterycznemi motywami. Na progach często stare cyganki czy Turczynki w charakterystycznych strojach, w bufiastych pantalonach. Mężczyźni noszą niebieskie lub czerwone bluzy z szerokiemi pasami, kilkakrotnie owijanemi około siebie. Jeszcze dodajmy do tego sztylety — a zupełnie już jesteśmy na Bliskim Wschodzie. Mimo europejskiej kultury Bułgarji powiew Wschodu daje się tu już odczuwać.

Zupełnie odrębny widok przybiera stolica w czasie święta kultury, a zarazem święta młodzieży bułgarskiej — Cyryla i Metodego. Gromadzi się w ten dzień cały rząd Bułgarji, by na trybunie naprzeciw pomnika cara Oswobodziciela odbierać defiladę młodzieży. A jest to defilada barw i prężności narodowej.

Cudzoziemca uderza w pierwszym rzędzie wielki porządek panujący tu, mimo nieprze-

Pomnik „cara oswobodziciela" Aleksandra Battenberskiego w Sofji.



W uroczystościach św. Cyryla i Metodego bierze udział młodzież w barwnych strojach



liczonych tłumów. Niema żadnych „sznurów“, które gdzieindziej stanowią konieczny, choć niezawsze niezawodny, środek utrzymania tłoczącej się publiczności. Jedynie na trzy kroki przed tłumami stoją, w czarnych mundurach, ściągniętych skórzanemi paskami, w białych „maciejówkach“ gimnazjaliści. Oddaleni od siebie o ośm kroków, stanowią idealny „sznur“, ciągnący się białemi plamami czapek przez całą długość bulwaru cara Oswobodziciela.

Po przedefilowaniu grup oficjalnych, weteranów z walk o wolność Bułgarji — idzie młodzież. Na czele obraz Cyryla i Metodego. A potem najmłodsze roczniki obywateli: dzieci, dzieci...

Idą pierwsze szkoły powszechne. Huczy to okrzykami „hurra“, powtarzanemi przed trybuną rządową, skrzy się haftami narodowych strojów, zachwyca karnym szykiem. Barwny ten pochód powiewa kolorowemi chorągiewkami z postaciami dwóch twórców cyrylicy. Przypomina to nasze proporczyki TSL. Min. oświaty wita te szeregi, metropolita błogosławi. Potem idą starsze roczniki. Maszerują twardym, równym, defiladowym pruskim krokiem.

Bardzo kolorowo wyglądają grupy występujące w strojach poszczególnych dzielnic



Liczne wieże cerkiewne Sofji przypominają przedwojenne miasto rosyjskie.

niczych odznaczają się orły górskie „kartaty“. Szerokość ich rozpiętych skrzydeł osiąga 2—3 m., a Bułgarzy twierdzą, że są one zdolne udźwignąć ciężar 40 kg.

Orły nad stolicą, to nieczęsty wypadek w Europie. Dzieje się to dzięki wysokiemu położeniu Sofji (500 m. n. p. m.) i ciągnącemu się na południu łańcuchowi górskiemu Witosza z najwyższym szczytem Czarnym Wierchem (2286 m). Niewielkie oddalenie pozwala znaleźć się tramwajem po 20 minutach u stóp tego pasma. Tutaj na zboczu kopulastego masywu przywarł mały zameczek-cerkiewka, dawna rezydencja władców. Sięga swemi początkami XI w. Pierwotnie był małą cerkiewką, później rozbudowano i podwyższono go o dalsze piąterko. Obecnie dolna część przenaczona jest na grobowce, górna nabożeństwa

W tem prześlicznem otoczeniu znajduje się grobowiec drugiej żony króla Ferdynanda (ojca króla Borysa). Płyta grobowca tonie dosłownie w deszczu przepysznych wonnych kwiatów. Wnętrze cerkiewki pokryte staremi freskami. Znawcy uważają je za znacznie wartościowsze od współczesnych im włoskich. Z pośród świerków i cudnych kwiatów roztacza się wspaniały widok na płaskowyż z Sofją, połyskujący złotem krągłych kopuł,



Wspaniałą architekturą odznacza się cerkiew Aleksandra Newskiego.



Najstarsza cerkiew w stolicy Bułgarji pochodzi według legendy z V. wieku.

Bułgarji. Młodzi sokoli w pięknych czarnych „kałpakach“, obszytych białym otokiem, w białych bluzkach, czarnych spodenkach i charakterystycznych białych kamaszach z czarnemi rzemykami, przypominającemi nasze poleskie „łapcie“ i ich umocowanie.

Grupy gimnazjalne otwiera ogromnej wielkości obraz Cyryla i Metodego. Za obrazem dwójkami uczniowie najwyższych klas niosą poszczególne litery alfabetu słowiańskiego. Tu znowu stroje oficjalne: czarne mundury i białe maciejówki.

W defiladzie przewijają się dawne i obecne stroje. Wszystko to tworzy żywy kolorem, niesłychanie świeży obraz ubiorów dzielnic państwa: Macedonji, Tracji, Dobrudży. Dziewczęta w wielobarwnych wyszywankach, utrzymanych przeważnie w kolorze ponsowym do blado czerwonego włącznie. Wspaniałe pod względem techniki, kompozycji i kolorytu hafty są najpiękniejszą częścią bułgarskiej sztuki ludowej. Sztuka ta przechodzi z pokolenia na pokolenie. Według tradycji sięga swojemi początkami do Attylli. Na dworze „Bicza Bożego“ znajdowała się grupa Słowianek, która kultywowała tę sztukę. Obecnie ten przemysł ludowy ukrywa się przed tandetną kulturą po zakamarkach gór, co stanowi bardzo mocną i pewną twierdzę.

Kolorowe stroje dziewcząt przypominają nasze łowickie pasiaki, a są spięte pasami o dużych metalowych klamrach. Tworzy to jednolity, bardzo żywy tonami szereg. Najcharakterystyczniejsze bodaj to orkiestry gimnazjalne żeńskie. Bułgarki nietylko imponują doskonałym szykiem wojskowym, im ponują również doskonałą grą na instrumentach dętych.



Fragment pochodu w dniu św. Cyryla i Metodego. ***Fotografje I. Kleszczyńskiego — Kraków.***

W tej grze barw, w przepięknem otoczeniu gór skrzących się śniegiem, jedno uderza specjalnie silnie: prężność i postawa wojskowa tych szeregów. Karne szyki, krok wojskowy chłopców, 14-letnie dziewczęta idące ósemkami w sposób, którego nie powstydziłby się niejeden oddział wojskowy — to daje wyobrażenie o mocy i duchu dzielnego narodu.

Okrzyki hurra, trzykrotnie powtarzane przez karne szyki od sześcioletnich berbeciów do studentów uniwersytetu, ten okrzyk do ataku — to daje pojęcie o możliwościach najmłodszych roczników Bułgarji.

Czasem defiladę uświetnia swoim ukazaniem się eskadra bezszelestnych samolotów. To pierwsze wrażenie po chwili mija. Majestatycznym lotem ciężkich bombowców lot-

na pierwszym planie. Z żalem żegnamy śliczny motyw. Mijamy barwne plamy kwiatem obsypanych drzew i za chwilę tramwaj przenosi nas z powietrza przesyconego spokojem, z pośród zieleni, przeciętej srebrem wodospadów, do gwaru stolicy dzielnego narodu i róż.

* * *

Bułgarja po przegraniu wojny światowej, z której wyszła bardzo okrojona z rodzimych terenów — przeszła szereg wstrząsów wewnętrznych. Po ostrych walkach partyjnych, które przepłacali życiem najlepsi synowie Bułgarji — w tej chwili dzielny ten naród przeżywa renesans. Rządy sprawowane przez króla Borysa stanowią okres bardzo pomyślny, odznaczający się postępem na każdym kroku.

Ogromne szkody wyrządzone wojną światową zostały usunięte, a dzielny naród coraz lepiej się rozwija. Mimo charakteru rolniczego, braku kapitałów — cuda tutaj działa kooperacja. Od nowoczesnych hoteli, fabryk butów, przetwórni produktów rolnych, do elektrowni i tak ważnego w budżecie państwa olejku różanego, wszystko jest dziełem spółdzielczości. W ten sposób solidarny wysiłek potrafi usunąć największą przeszkodę rozwoju, jaką stanowi niewątpliwie brak kapitałów.

Kraj ten odznacza się specjalnym sentymentem dla Polski, wypływającym z podobieństwa dziejów. Gdy Polska jęczała pod jarzmem zaborców, równocześnie Bułgarzy toczyli walki z Turkami o odzyskanie niepodległości, dlatego też z uczuciem równie serdecznem obserwujemy postępy dzielnego narodu.

Mgr. Ignacy Kleszczyński.

POWRÓT TRZODY
Fot. Van de Poll — Paryż. →



Radziwiłłowska przygoda



Miłość i pieniądz, — oto dwa momenty rządzące życiem. Dźwięczą one jak jakiś naprzykrzony refren, powtarzający się za każdą zwrotką; w czasach kiedy jeżdżono kolasami były równie potężne. jak dziś w czasie samolotów i radja. I wije się ta nić przewodnia życia ludzkiego przez wszystkie dzieje, zawęźla się i rozplątuje, a czasem przecina ją nieubłagana Pani — śmierć.

W naszych dziejach porozbiorowych znajdujemy jeden epizod miłosny, który w wysokim stopniu zaciążył na polityce i losach nietylko wielkiej rodziny, potężnego gniazda Radziwiłłów, ale na naszym narodowym stanie posiadania. — Nie było bogatszego i potężniejszego domu nad Radziwiłłów w Polsce, ba! w całej Europie! Michał Kazimierz Radziwiłł, zmarły w r. 1760 posiadał więcej nad tysiąc mil kwadr. i miał kilkakroć stotysięcy poddanych, a dochód jego wynosił rocznie miljon i trzysta tys. talarów! W cieniu olbrzymiego drzewa radziwiłłowskiego, które konarami całą Litwę i pół Polski przykrywało, rosły i bogaciły się liczne rodziny nawet magnackie. Nic dziwnego więc, że każde zdarzenie w tej rodzinie stawało się wydarzeniem publicznem. Bratem słynnego księcia „Panie Kochanku" Karola był ks. Hieronim, żonaty z ks. Zofją-Dorotą von Thurn und Taxis, córką panującego w Rzeszy księcia i małżonki jego wirtemberskiej krwi księżniczki. Wcześnie odumarłszy swego syna, ks. Dominika, jego też pozostawił sukcesorem olbrzymiej fortuny stryjowskiej. W czasie kiedy dorastał przyszły ordynat nieświeski i ołycki, książę Pepi w towarzystwie pani de Vauban hulaszcze wiódł życie „pod Blachą", zyskując popularność Warszawy swemi szaleńczemi wybrykami. Nie chciał być gorszy kniaź litewski: zamki więc w Nieświeżu i Mirze iluminowane w długie litewskie noce zimowe, pełne były wrzawy, balów, przyjęć i wszelakiej swawoli. Szeroki gest młodego księcia zaniepokoił krewnych, ordynatów kleckich: postanowiono go ożenić. Wybór panny był nietrudny: każda chętnie poślubiłaby młodego, pięknego człowieka, noszącego historyczne nazwisko. Wybór padł na hrabiankę Izabellę z Wielkich Kończyc Mniszchównę. Odbyło się wspaniałe wesele, na którem najmniej może bawił się sam oblubieniec: znosił ten marjaż jako konieczność dynastyczną, Radziwiłłowie przecież w swej rodzinnej polityce nie ustępowali domom panującym. I tu na lśniących posadzkach salonów widzi on po latach rozłąki przepiękną Teofilę z Morawskich hrabinę Starzeńską, osobę wielkich wdzięków. Jest to zresztą kuzynka księcia: babką jej była księżniczka Teofila Radziwiłłówna, córka ks. Michała-Kazimierza, która zaślubiła generał-lejtnanta Ignacego Morawskiego, herbu Dąbrowa. Ich syn generał Karol Morawski, żonaty z Anną Jundziłłówną, herbu Łabędź, był ojcem pani Starzeńskiej. Tak więc Dominik Radziwiłł i Teofila Morawska byli cioteczno-ciotecznem rodzeństwem, gdyż ks. Michał-Kazimierz był również dziadkiem młodego ordynata. Młodzi, oboje piękni, oboje kochający życie i mało zważający na ustalone jego formy, zapłonęli ku sobie miłością. „Coup de foudre" był wtedy conajmniej tak częstem zjawiskiem jak dziś, tylko, że zakochani nie uciekali samolotem czy jakimś „train bleu", lecz poprostu karetą. Efekt tych eskapad był jednak ten sam: Książę Dominik znika z weselnej uczty wraz z hr. Starzeńską, opuszcza z nią Litwę i jedzie do Wiednia. Kochankowie rozpoczynają starania o rozwód, ale sytuacja jest dla nich mało pomyślna. Zanim nadchodzi upragnione unieważnienie ślubów, pani Starzeńska urodziła synka, księcia Aleksandra-Dominika. Było to w roku 1808: Europa znów przechodziła wstrząsy wojny, łuna gorzała nad państwami. Dopiero w rok później kochankowie biorą ślub, lecz książę Dominik, zawsze zdecydowany robić co mu nakazywała fantazja lub honor, mało myśli o sprawach rodzinnych. W r. 1811 zgłasza się do ówczesnego ministra wojny księcia Józefa Poniatowskiego, który również papuzi fraczek zamienił na mundur i szpadę na ciężką szablę kawaleryjską, i oddaje swe usługi Polsce. Przecież idzie wtedy przez wszystkie ziemie polskie zew wolności, snują się jakieś tęskne, podobne do mgły porannej, nadzieje, a gdy ucho przyłoży się do ziemi słychać tam, jakby grzmoty w kuźni Wulkana gotującego broń na krwawy porachunek. Dominik Radziwiłł wierny cieniom swych przodków wojowników, formuje własnym kosztem ósmy pułk ułanów, na którego staje czele. Po licznych bitwach i zwycięstwach nad wrogiem, pada książę pod Hanau 11 listopada 1813 roku. Upadek Napoleona i nadziei polskich odbił się też na losach ordynacji: zostały one skonfiskowane tej linji Radziwiłłów, jako buntownikom i przysądzone linji kleckiej. Dobra allodjalne ks. Dominika przeszły na córkę jego Stefanję, urodzoną już po ślubie rodziców, którą wydano 16 letnią za feldmarszałka rosyjskiego, zruszczałego Niemca ks. Wittgensteina. Wpływy rosyjskie umacniają się oczywiście w tych olbrzymich latyfundjach na dobre. Tymczasem syn ks. Dominika walczy o uznanie prawowitości swego pochodzenia, które stało się pretekstem do nieprzyznania mu dóbr po ojcu. Potężni byli Radziwiłłowie, potężniejszy jednak był car: uzyskuje on jedynie 300 tys. rubli w złocie od swego szwagra Wittgensteina za zrzeczenie się praw do majątków. Mieli rację Moskale odbierając dobra ks. Aleksandrowi-Dominikowi: nieodrodny syn swego ojca wstępuje on w r. 1831 do wojska polskiego, przedarłszy się z ochotnikami z ówczesnej Galicji przez granicę. Po upadku powstania zamieszkuje w Wiedniu, a potomkowie jego posiadają dobra Zagrobella w Małopolsce. Ostatnią latoroślą tej linji jest ks. Marja-Maksymiljana-Olga, córka ks. Aleksandra-Fryderyka. Lat temu kilka wszczął on proces przeciwko właścicielom obecnym Nieświeża powołując się na dawne prawa i żądając naprawienia krzywdy carskiej.

Z szczękiem broni doby napoleońskiej wiąże się miłość dwojga młodych i pięknych ludzi, a nieszczęścia ich wtórowały żałobie całego kraju. Miłość i pieniądz, źródło szczęścia, zatruły im życie...

Jan Maleszewski.



Dominik ks. Radziwiłł, twórca 8-go pułku ułanów.



Prawnuczka bohatera spod Hanau: Marja-Maksymiljana-Olga ks. Radziwiłłówna.

Panie, o których mówi Warszawa:

HALINA REGULSKA

Zarówno w zakresie życia towarzyskiego stolicy jak i zainteresowań sportowych, jedno z naczelnych miejsc zajmuje, jako znakomita automobilistka, pani Halina Regulska, żona prezesa Janusza Regulskiego, znanej osobistości ze sfer przemysłowych, zarazem wiceprezesa Automobilklubu Polskiego. Na wszystkich zawodach, raidach pań, czy „Pogoniach za lisem", pani Regulska figuruje stale jako zdobywczyni pierwszych nagród.

Tak było i na ostatnim raidzie pań, urządzonym we wrześniu przez Automobilklub Polski na trasie Warszawa—Augustów—Warszawa, na którym p. Regulska zajęła pierwsze miejsce w kategorji wozów ciężkich, zdobywszy zarazem największą ilość punktów dodatnich, bez względu na kategorję, oraz próbę zręczności i kilometr „lancé". Za jednym zatem zamachem, świetnej kierowczyni przypadły w udziale cztery nagrody.

P. Halina Regulska przedstawia idealny typ nowoczesnej kobiety sportu. Smukła i zgrabna, energiczna a jednak bardzo kobieca, o żywych wesołych oczach, które płoną zapałem, gdy mówi o swoim ukochanym sporcie.

— Auto, to moja jedyna pasja — przyznaje p. Regulska. Gdyby nie to, że mam męża i dzieci stawałabym do najkarkołomniejszych wyścigów. Chociaż i rajdy dostarczają mi sporo emocji. Pierwszego mojego rajdu w r. 1927 nie zapomnę chyba do końca życia. Och, dali mi wtedy szkołę! Płakałam wprost z bezsilnej złości, nie miałam pojęcia o tym strasznym rygorze, obowiązującym na tych zawodach. Na rajdzie towarzyszy kierowcy mechanik i kontrolor. Otóż mój mechanik, poza tym bardzo miły pan, członek Automobilklubu, traktował mnie jak prostego szofera. Najmniejszych względów, nic! Kobieta przestała istnieć, został tylko zawodnik. Ale też dzięki temu zdobyłam nagrodę, bez punktów karnych. Lecz równocześnie połknęłam „bakcyla rajdowego". Już na drugi rok staję na małym Fiacie do rajdu pań Warszawa—Kraków—Lwów i zajmuję pierwsze miejsce ze wspaniałym wynikiem. Miałam nawet wywiady w prasie włoskiej.

— A nigdy się pani nie zdarzył jakiś nieszczęśliwy wypadek- — pytam.



Urocza sportsmenka p. Halina Regulska.



P. Regulska na mecie raidu pań Warszawa-Kraków-Lwów.

— Owszem raz jeden. Zostałam na 50-tym metrze od mety dosłownie bez motoru. Zbytnio zaufałam maszynie, której nie miałam czasu poznać dokładnie. Całe szczęście, że skończyło się na tym. Musiałam się naturalnie wycofać, bardzo to było przykre.

— A co decyduje w raidzie o zdobyciu nagrody?

— Czas i ilość punktów dodatnich. Naogół mylnie niektórzy osądzają raidy, jako wyścigi szybkości Jest to bowiem raczej rodzaj egzaminu z umiejętności prowadzenia maszyny w oznaczonym czasie i bez niczyjej pomocy, pod ścisłą kontrolą. Jeżeli przyjeżdża się za szybko, otrzymuje się za to tak samo punkty karne, jak i za zbyt powolne tempo. W razie jakiegoś defektu nie wolno przyjmować niczyjej pomocy. Wynikają na tem tle zabawne przygody, jak panie rozpaczliwym krzykiem bronią się od dotknięcia maszyny przez rycerskich panów.

— Ale podobno najbardziej emocjonującem jest zakończenie raidu?

— O tak. Odbywa się bowiem próba zręczności, która polega na przejechaniu 250 metrów w jak najszybszem tempie, dokładnie do linii, wyznaczonej na trasie, potem wraca się tyłem 100 metrów, na setnym metrze zakręca i wraca na start. Na ostatnim rajdzie uzyskałam czas 1 min. 36 sek.

— A ten kilometr „lancé"?

— A to już jest najzwyczajniejszy kilometrowy wyścig. Wzięłam go w 32 sekundy.

Moja uprzejma rozmówczyni nagle przerywa i patrzy na mnie zatroskana.

— Mój Boże — wzdycha — przecież ja tych biednych Czytelników „Asa" zanudzę na śmierć tym moim wykładem samochodowym! Muszą mi to jednakże darować, auto to przecież mój ulubiony „konik"!

Zofia Ordyńska.

JESIEŃ IDZIE...



Pola opustoszały, czekając na jesienną orkę...



Przychodzą w życiu chwile, kiedy człowiek stara się zrobić bilans swych czynów kiedy chce się zorjentować, ile szczęśliwych, a ile przykrych przeżył chwil. Jest to rachunek sumienia pełen głębokich wzruszeń. Jesień, stanowiąca niejako ostatni etap rozwoju natury, jest właśnie takim bilansem, nie pozbawionym oczywiście smętku i głębszych refleksyj. Na wsi wszystko układa się harmonijnie: i w tej porze roku natura kroczy odwiecznemi szlakami, przygotowując nowy cykl życia. W mieście natomiast urok jesieni polega na wzmożonem tempie życia, ludzie skupiają się bardziej w murach domów i żyją nieraz wspomnieniami letnich dni. Lecz mimo, że ich czeka pełna rozrywek zima, nieraz kurczy się serce na widok mgieł jesiennych, opadających liści i tego uroczego, lecz przejmującego smętku, unoszącego się nad miastem wraz z drobnym, lecz dociekłym deszczem...

J.



Coraz ciszej i puściej w ogrodach i parkach, słychać tylko szelest opadających liści.



„Kapuśniaczek" spowija miasto w całun wilgoci.



Ciepło ubrane dzieciaki nie przejmują się jesiennym smętkiem...



Żadna zakochana para nie odwiedzi już ławeczki w cichym zakątku parku...

POURQUOI-PAS?

na szlakach wielkich odkrywców

Wśród odkryć geograficznych jedną z najciekawszych kart stanowią wyprawy polarne. Nigdzie człowiek nie musiał walczyć tak zacięcie z groźną przyrodą, która zazdrośnie ukrywała, a częściowo jeszcze i obecnie ukrywa, swe tajemnice, na żadnym obszarze naszego globu nie padło tyle tragicznych ofiar, zwyciężonych potężnymi żywiołami niedostępnej przyrody, co w okolicach podbiegunowych. W walce o zdobycie obu biegunów padały życia bohaterskich odkrywców, na których jednak miejsce zjawiali się inni, zdecydowani na walkę na śmierć i życie. Tajemnicze, grozą wiejące pustynie lodowe przyciągały człowieka, pragnącego przeniknąć ich tajemnice.

Już w starożytności z groźnymi lodami północy miał się spotkać wielki podróżnik i od-



Na prawo: Przygotowania do wyprawy polarnej.



Najsłynniejsi podróżnicy i badacze Antarktydy: Od lewej: Roald Amundsen, Robert F. Scott, Otton Nordenskjöld, Fridtjof Nansen.

ważny żeglarz Piteasz, który opłynąwszy Wielką Brytanję nie zawahał się podążyć dalej na północ, gdzie wstrzymały go dopiero mgły i lody. Odkryta przez niego wyspa na dalekiej północy, nazwana później sławną nazwą Thule (ultima Thule) uważana była przez długi okres czasu za najdalszy północny kraniec ziemi.

W wiekach średnich, niesprzyjających badaniom naukowym, niewiele interesowano się odległymi, niegościnnymi krajami. Jedynie śmiałe drużyny wikingów zapędzały się nieraz daleko na północ. Z odkrytej przez nich wyspy lodów (Islandji), gdzie powstało niezależne państwo normandzkie, wyruszały odkrywcze wyprawy, z których jedna dała początek kolonizacji południowych brzegów Grenlandji, największego z lądów arktycznych. Dalsze wyprawy docierają do nowych lądów i wysp, a przelotnie nawet do Ameryki, która w ten sposób została odkryta przez Normanów na długo przed Krzysztofem Kolumbem. Po pojedynczych wyprawach angielskich, holenderskich i duńskich w wieku XVI, których głównym celem było opłynięcie północnej Europy i Azji oraz znalezienie nowej drogi do Chin, nastąpiła dwuwiekowa przerwa.

Z wypraw podjętych z początkiem wieku XX-ego przez żeglarzy angielskich najbardziej znanymi są wyprawy Johna Rossa i jego synowca Jamesa Rossa, Edwarda Parry'ego, który pierwszy przekroczył 82° północnej szerokości geograficznej, a przedewszystkiem Johna Franklina. Niestrudzony ten badacz wyruszył na dwu statkach w r. 1845 na czele stu kilkudziesięciu ludzi na odległe wody mórz podbiegunowych, by więcej z nich nie wrócić. Gdy po trzech latach nie nadeszła żadna wiadomość od wysłanej ekspedycji Franklina, ani nie odnaleziono jej śladów, zrozumiano, że stało się nieszczęście. Nie tracono jednak nadziei, że tak doświadczony badacz i podróżnik, jakim był Franklin, nawet mimo utraty statków, zwycięsko wyjdzie z walki z żywiołami dalekiej północy. Dla przyjścia mu z pomocą zorganizowano wiele wypraw t. zw. „franklinowskich", które poniosły dużo trudów i ofiar, by dotrzeć do zaginionej wyprawy Franklina i uratować rozbitków. Wyprawy te, zorganizowane w ilości czterdziestu na przestrzeni lat trzydziestu, nie przyniosły upragnionego celu, mogły stwierdzić jedynie katastrofę i śmierć Franklina i jego towarzyszy, którzy zdala od ojczyzny padali z głodu i zimna, nie doczekawszy się pomocy. Wyprawy „franklinowskie" pozostały jednak symbolem szlachetnych instynktów ludzkich, które kazały za wszelką cenę i każdym wysiłkiem iść z pomocą zaginionej wyprawie. Szereg odkryć naukowych i zdobyte doświadczenie stały się podstawą przyszłych ekspedycyj i zdobycia obu biegunów.



Antarktyczny statek wyprawy belgijskiej „Belgica" w okowach mrozu.

Z końcem ub. stulecia zorganizowano szereg wypraw, których głównym celem było dotarcie do bieguna północnego. Na zdobycie tego niedostępnego zakątka ziemi wybierano się nie tylko drogą wodną, próbowano przedostać się i drogą lądową, a nawet powietrzną. W r. 1897 Szwed Andrée z dwoma towarzyszami powierzył swe losy balonowi. Niezwykle śmiałe to przedsięwzięcie nie powiodło się i Andrée podzielił losy Franklina. Dopiero po trzydziestu latach odnaleziony został jego obóz z dziennikiem podróży i fotografjami, będącymi dokumentami losów tej tragicznej wyprawy.

Niezmiernie wiele ważnych odkryć i badań zawdzięczamy Nansenowi i Adolfowi Erykowi Nordenskjöldowi. Pierwszy z nich, autor znanej, tłumaczonej na wszystkie języki świata książki „Wśród nocy i lodów", wielką sławę zdobył wyprawami na niezwyciężonym statku polarnym „Fram". Po raz pierwszy wypowiedział Nansen walkę lodom północy, stanowiącym największe niebezpieczeństwo dla badaczy polarnych. Odważnie postanowił dać się uwięzić lodom i na nich odbyć podróż z prądem pokrywy lodowej. Należało tylko zbudować statek, któryby wytrzymał straszne ciśnienia lodów i któryby posiadał chronione stery przed niebezpiecznymi krami. Jego „Fram" okazał się niezrównanym statkiem polarnym, który zaw-

sze wychodził zwycięsko z wieloletnich zapasów z lodami.

Sławny badacz szwedzki A. E. Nordenskjöld wykrył, że opłynięcie północnej Azji jest możliwe w sierpniu, gdy lód syberyjski zostaje stopiony ciepłemi wodami północno-syberyjskich rzek. Dla sprawdzenia swych przypuszczeń zorganizował Nordenskjöld swą słynną wyprawę na statku „Vega", który po raz pierwszy przepłynął ku morzom Azji wschodniej przejściem północno-wschodniem. W czasie swych wypraw zebrał Nordenskjöld niezmiernie wiele obserwacyj i zbiorów naukowych, ważnych dla badań polarnych.

Jego bratanek Otto Nordenskjöld poświęcił się badaniom nieznanej Antarktydy. W owym czasie (1902) mapa Antarktydy



Powyżej: Amundsen z towarzyszami przed namiotem na biegunie południowym.

była tak niedokładna, że polegać na niej nie można było zupełnie i każda z wypraw uzupełniała szczupłe wiadomości o nieznanym lądzie południa. Statek Nordenskjölda „Antarktyk" uległ strzaskaniu przez lody i członkowie wyprawy szwedzkiej znaleźli się w sytuacji podobnej do nieszczęśliwej wyprawy Franklina. Uratowawszy co najniezbędniejsze z tonącego statku, puścili się w niebezpieczną i ryzykowną podróż szalupami przez szczeliny lodów. Po dwóch tygodniach wylądowali na wyspie Pauleta, gdzie spędzili zimę w niezwykle ciężkich warunkach, żywiąc się mięsem bezlotków i fok, w które na szczęście okolice obfitowały.

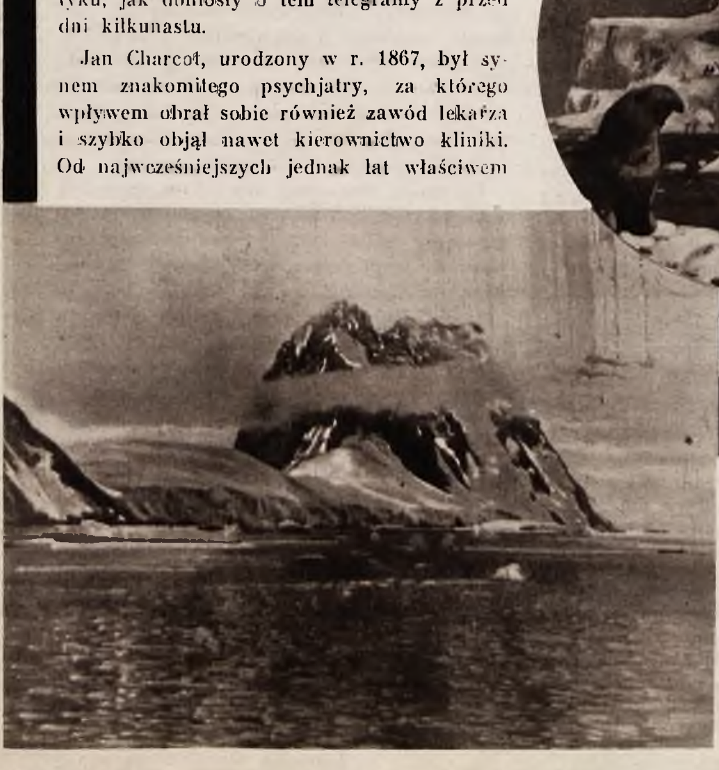
Zaniepokojony rząd szwedzki o losy wyprawy wysłał statek ratunkowy; z inicjatywy Argentyny wyruszył jacht wojenny „Urugwaj", któremu udało się natrafić na obóz Nordenskjölda i ratować jego wyprawę. Na pomoc zaginionym rozbitkom wyruszył również francuski statek „Le Français" pod wodzą Jana Charcota. Tą wyprawą polarną rozpoczął Jan Charcot swą pionierską działalność badacza okolic podbiegunowych. Przez dalsze trzydzieści parę lat pozostawał wierny tym obszarom, które tak ukochał i którym poświęcił swe życie. W badawczej podróży na statku „Pourquoi-Pas?" znalazł śmierć w zimnych falach północnego Atlantyku, jak doniosły o tem telegramy z przed dni kilkunastu.

Jan Charcot, urodzony w r. 1867, był synem znakomitego psychjatry, za którego wpływem obrał sobie również zawód lekarza i szybko objął nawet kierownictwo kliniki. Od najwcześniejszych jednak lat właściwem jego zamiłowaniem były zagadnienia i podróże morskie. Pierwszą podróż naukową odbył w r. 1899 na wody Islandji, a przeprowadzone tam badania i ogłoszone prace oceanograficzne zwróciły uwagę na młodego lekarza. Sławę przyniosła mu podróż do Antarktydy, którą we Francji powszechnie uważano za szalone przedsięwzięcie, przepowiadając zgubę młodemu badaczowi. Warto dodać, że jedną z nielicznych wcześniejszych wypraw do zupełnie nieznanej Antarktydy i mórz południowych była belgijska wyprawa antarktyczna na statku „Belgica", w której m. in. wziął udział znakomity badacz polarny i zdobywca obu biegunów, Amundsen, oraz dwaj nasi rodacy Arctowski i Dobrowolski.

Pierwsza wyprawa polarna Charcota trwała od r. 1903—1905. W pracach swych kontynuował badania wyprawy belgijskiej, przywożąc wiele interesujących zdobyczy. Po powrocie do kraju wszystkie starania i cały



W kole: Krajobraz antarktyczny ze swemi mieszkańcami: pingwinami i słoniem morskim.



Na lewo: Wyspa Wandella, gdzie przezimowała wyprawa Charcota.

swój skromny majątek poświęca na zbudowanie nowego żaglowca, któryby mógł stawić czoło warunkom polarnym i odpowiedzieć postawionym zadaniom. Powstaje statek „Pourquoi-Pas"? — „Dlaczego nie?", który jest odtąd nieodłącznym towarzyszem podbiegunowych wypraw dr Charcota.

W drugiej wyprawie antarktycznej odkrywa Charcot nowe lądy i wyspy, przywożąc liczne szkice i mapy przebytych szlaków. — W obu wyprawach południowych odkrył nie mniej, jak 3600 km. wybrzeży podbiegunowych. Na białych kartach Antarktydy zaczynają się zjawiać i nazwy francuskie. Wyrazem hołdu oddanego wielkiemu odkrywcy było uwiecznienie jego nazwiska na mapach geograficznych nazwą „Terre Charcot".

Prace Charcota w obszarach antarktycznych torują drogę dalszym odkrywcom. W r. 1908 angielski badacz Shacleton dotarł niemal do samego bieguna, przekraczając 88 st. szerokości geograf. południowej. Tylko niezwykle silne burze, które zupełnie uniemożliwiły posuwanie się naprzód, nie pozwoliły na zatknięcie flagi angielskiej na samym biegunie. W dwa lata później wysyłają Anglicy nową wyprawę pod kierownictwem Roberta Scotta dla zdobycia bieguna. Z początkiem r. 1912 stanął rzeczywiście Scott na biegunie południowym, gdzie jednak znalazł zatknięty już przed pięciu tygodniami sztandar norweski przez Amundsena, pierwszego zdobywcy bieguna południowego. Tragicznym był powrót Scotta i jego towarzyszy. W odległości tylko 20 km. od głównego składu żywności giną oni z wyczerpania i głodu. Podobny los spotyka w dwadzieścia kilka lat później i bohaterskiego Amundsena: ginie on bez wieści, szukając towarzyszy gen. Nobilego, którego głośna wyprawa na wielkim sterowcu pozostaje jeszcze w świeżej pamięci.

Dr Charcot nie wraca już na południe. Dalsze jego wyprawy skierowane są wyłącznie na północ. Po wojnie światowej, w której bierze udział jako ochotnik, rokrocznie organizuje wyprawy w północne okolice podbiegunowe, na burzliwe wody Północnego Atlantyku i Oceanu Lodowatego, zwłaszcza po wschodniej stronie Grenlandji. Wyniki swych badań z zakresu geografji morskiej, meteorologji, geologji i biologji publikuje w specjalnych naukowych wydawnictwach, jak i osobnych książkach. Liczne odznaczenia i otrzymane godności nie powstrzymują go od dalszych podróży i badań, stają się bodźcem do dalszej niezmordowanej pracy.

W gronie wyszkolonych przez siebie współpracowników wyrusza 70-letni badacz na ostatnią wyprawę na daleką Północ. Nie spodziewa się, że więcej z niej nie wróci. Wierny „Purquoi-Pas?" nie wytrzymał huraganowej burzy, z którą rozpaczliwie walczył przez długie godziny. Rozszalałe fale wzburzonego morza rzuciły statek Charcota na skały wybrzeża Islandji, przynosząc zagładę jego załodze. W tych okolicach, od których rozpoczął swe morskie podróże przed 37 laty, znalazł on bohaterską śmierć wraz z towarzyszami. Nie przybył już do Kopenhagi, gdzie król i towarzystwo geograficzne przygotowały na koniec września na jego cześć wielkie uroczystości, w których międzynarodowy świat naukowy miał złożyć hołd swemu bohaterskiemu przedstawicielowi.

Imię Jana Charcota pozostanie w szeregu tych wszystkich badaczy i podróżników podbiegunowych, którzy całe swe życie poświęcili badaniom tajemniczych i nieznanych krain wiecznego lodu. **K. Mawicz.**

»RYLCEM I GĘSIEM PIÓREM«



Powyżej: Papirus grecki z czasów cesarza Augusta.



Przybory do pisania w starożytności: 1) tabliczka drewniana, 2) tabliczka woskowa, 3) i 4) zapieczętowany list papirusowy, 5) zwój papirusowy, 6) kałamarz, 7) podwójny kałamarz z bronzu, 8) notatnik z kilkoma tabliczkami woskowemi, 9) odcisk pieczęci, 10) sygnet z znakiem pieczętnym, 11) paletka pisarska z piórami trzcinowemi.

Gdy stąpamy cicho po salach jakiegokolwiek z muzeów, bibljotek, czy zbiorów, — z poza oszklonych szaf wyglądają ku nam karty starych rękopisów i pergaminów, wyblakłe, pokryte patyną wieków, czasem podarte, lub zżarte przez robaki, nieraz nawet już rozsypujące się ze starości.

Przypatrując się bliżej tym kartom, nietrudno zauważyć, że pokryte są one pięknem, kaligraficznem pismem, — w którem staranność wykonania i artyzm walczą o lepsze. W tych pożółkłych arkuszach zaklęte są myśli naszych przodków, w formie prac, czy badań, — które dla nich były osią palących zagadnień, — a nam wydają się dzisiaj niejednokrotnie dziecinnemi zabawkami, tak naiwne są nieraz te wiadomości, w których bujna fantazja odgrywała niepoślednią rolę.

Wyobraźmy sobie jednak na chwilę, że żyjemy w tych prymitywnych, średniowiecznych czasach, a stare kodeksy i kroniki uzyskają w naszych oczach pierwotną świeżość i będą błyszczeć farbą, czy atramentem owych czasów. W atmosferze ascetycznej ciszy leżą one na pulpitach klasztornych cel, lub mrocznych sal uniwersyteckich. Mnisi, zakuci w habit zakonnej reguły, niby ludzkie mrówki, spędzają nad nimi prawie całe swe życie. Delikatne ich palce muskają pergaminowe karty, wypełniając je pięknem, wykaligrafowanem pismem, lub barwnym, misternie wypracowanym ornamentem.

Podejdźmy do nich i rozglądnijmy się, jakim materjałem piśmiennym i jakiemi przyborami posługują się ci ludzie. Znajdziemy tu dużo materjału, znanego już starożytnym. Między innemi, główne miejsce zajmuje papirus, który znany był już na parę tysięcy lat przed Chrystusem w Egipcie, — a wyrabiany był z rośliny, upiększającej brzegi Nilu. Papirusu używali też Grecy i Rzymianie, nawijając go na wałek, w formie zwojów, a kilka takich zwojów tworzyło jedną księgę.

Gdy Arabowie, rozfanatyzowani wojną świętą, podbili Egipt, — potrafili udoskonalić fabrykację papirusu i rozpowszechnili go w Europie. W tym czasie najwięcej papirusu używano na ówczesnym dworze papieskim oraz na dworze Merowingów.

Na początku średniowiecza papirus był w powszechnem użyciu, ale ogólnie uważano go za materjał szybko niszczący się i nietrwały, — w związku z czem niewiele dokumentów papirusowych dochowało się do dziś dnia.

Prócz papirusów używano jeszcze t. zw. „tabulae cerae", czyli tabliczek, pokrytych woskiem, na których pisano przelotne uwagi rylcem (z drugiej strony spłaszczonym do wygładzania wosku). Tabliczki woskowe spełniały rolę dzisiejszego notatnika, — służyły n. p. do pisania rachunków. Gdy treść notatki okazała się zbędną, wosk wygładzano albo drugim końcem rylca, albo też wyrównywano nad ogniem. Do najciekawszych tabliczek woskowych z tych czasów należą rachunki dworu królów francuskich, pochodzące z XIII-go wieku. W Polsce są też ślady, że używano tabliczek woskowych, jako materjału pisarskiego do celów podręcznych.

Za najważniejszy z materjałów piśmiennych tych czasów uważać należy pergamin. Wieść niesie, że wynalazł go król Eumenes II, władca Pergamonu, miasta w Małej Azji, — lecz faktycznie początki pergaminu sięgają do historji jońskich kolonij, z czasów o wiele wcześniejszych.

Pergamin dla swych zalet stał się wszechwładnym panem średniowiecznych dokumentów, kronik, kodeksów czy aktów. Rozpowszechnione były dwa rodzaje pergaminu: włoski i niemiecki. Różnica polegała na doborze skór i wyprawieniu. Pergamin niemiecki, wyrabiany ze skór cielęcych, był mniej delikatny i z obu stron wyprawiony, — podczas, gdy włoski, sporządzony ze skór baranich, kozich i jagnięcych, był delikatniejszy, lecz tylko z jednej strony wyprawiony, druga strona pozostawała zaledwie oskrobana z sierści.

Celem otrzymania pergaminu należało przedewszystkiem wymoczyć skóry zwierzęce w wodzie wapiennej, dla łatwiejszego oddzielenia sierści, którą następnie zeskrobywano sierpowemi nożami, na specjalnych półokrągłych deskach. Oskrobaną skórę naciągano zkolei na bębny, lub ramy, wygładzano, suszono, powlekano do białości kredą, wreszcie oddawano pod prasę, z pod której wychodził już pergamin, gotowy do użytku dla pisarzy, a zabarwiony na purpurowo, niebiesko lub żółto.

Zaznaczyć należy, że pergamin był materjałem bardzo kosztownym i dlatego opłacało się zmyć, lub zeskrobać pismo ze starego, zapisanego pergaminu, by ponownie pokryć je pismem. Takie pergaminy, zeskrobane i zapisane na nowo to palimpsesty, — z których drogą działań chemicznych, lub zapomocą fotografji, odpowiednio wywołanej, można otrzymać pierwotny tekst, zawierający nieraz rzeczy bardzo cenne, n. p. ustępy z dzieł starożytnych pisarzy.

Największe zapotrzebowanie na pergamin wykazywały klasztory, które też stały si ogniskami jego wyrobu, — ale zczasem i pc miastach wyrabiali go specjalni rzemieślnicy

Materjałem piśmiennym, który wszed w użycie znacznie później od pergaminu, był papier, wyrabiany przez Chińczyków z lnu,— a udoskonalony przez Arabów, którzy stworzyli, słynne na cały świat, fabryki papieru w Bagdadzie i Damaszku. Od Arabów przyjął się papier i w innych krajach, a w XI wieku wyrabia się go już nawet we Francji

Z chwilą wynalezienia druku, najodpowiedniejszym materjałem do drukowania książek okazał się właśnie papier, który by wprawdzie mało trwały, ale zato bez porównania tańszy, niż pergamin, — tak, że wkrótce pergamin zupełnie ustąpił miejsca papierowi.

Ciekawą rzeczą, jeśli chodzi o produkcje papieru, były znaki wodne, znajdujące się na poszczególnych arkuszach, a przedstawiające zazwyczaj głowę wołu (symbol św. Łukasza, patrona pergaministów i papierników), lub jakiś inny wizerunek, czy znak Znaki wodne umieszczano w ten sposób, że na dno sita, przez które przelewano mase papierową do formy, wkładano odpowiedni rysunek, sporządzony z drutu.

Do mody ówczesnej należało wypełnianie każdego wolnego miejsca w tekście wielobarwnym malunkiem, lub ozdobą ornamentacyjną, — przyczem nie można odmówić średniowiecznym artystom smaku w doborze kolorów. Do malowania i pisania używano pendzelków i piór, przeważnie ptasich, obok których niezbędnym dodatkiem był ostry nożyk do wyskrobywania plam i zacinania tępego pióra. Ze sprzętów najważniejszym był skośny pulpit, celem lepszego pisania a w stole był otwór, w którym umieszczano róg, pełen farby, lub atramentu.

Tak więc mniejwięcej przedstawiał się zapas materjałów i narzędzi pisarskich zakonnika, ślęczącego w ciszy klasztornej celi nad kodeksem czy kroniką, — lub pisarza jakiejkolwiek kancelarji monarchy, nadającego przywileje zasłużonym wasalom.

Mgr. Mieczysław Tobiasz.

PORTRET
Artystka filmowa Anda Bori.
Fot. Willinger — Wiedeń

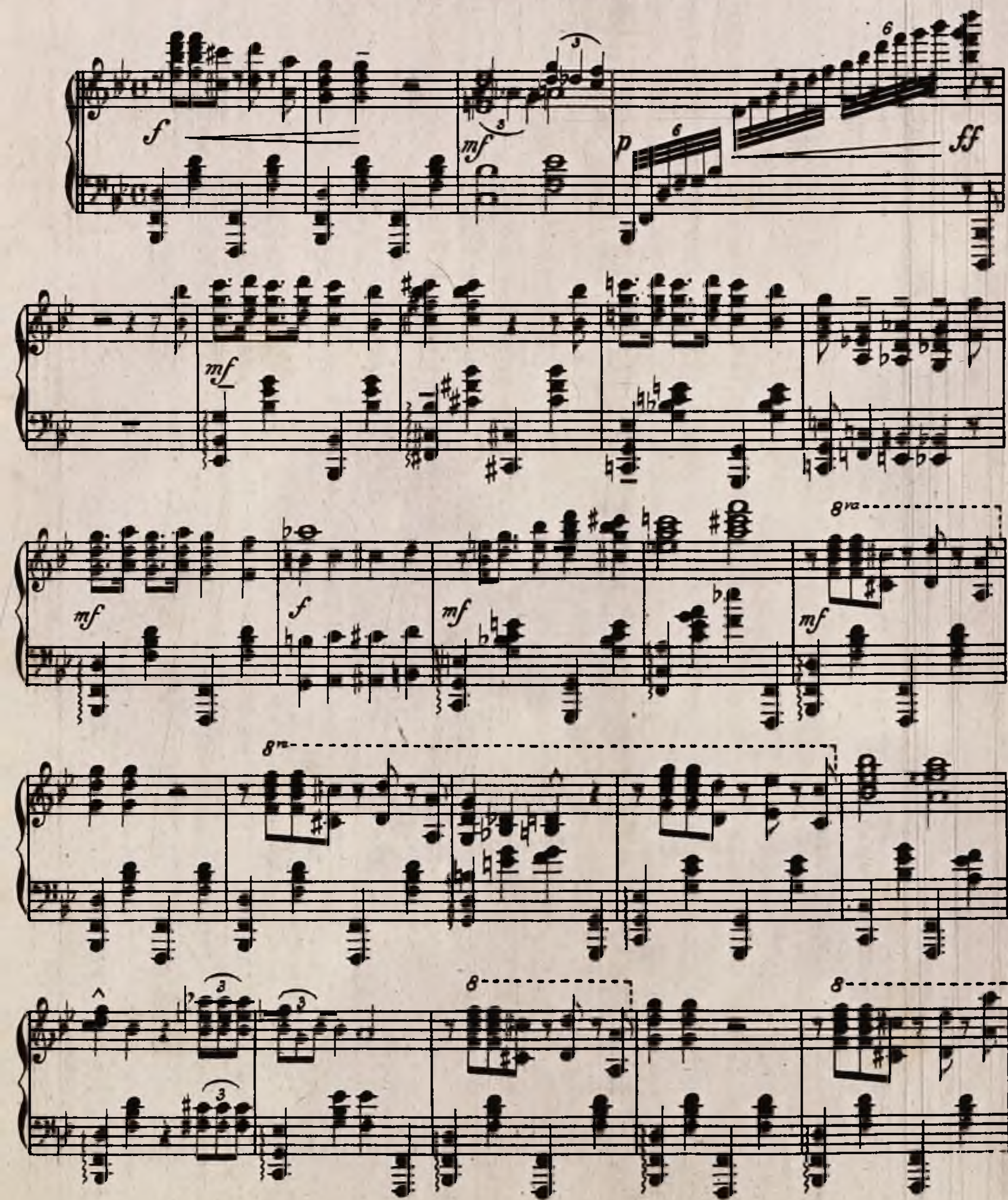


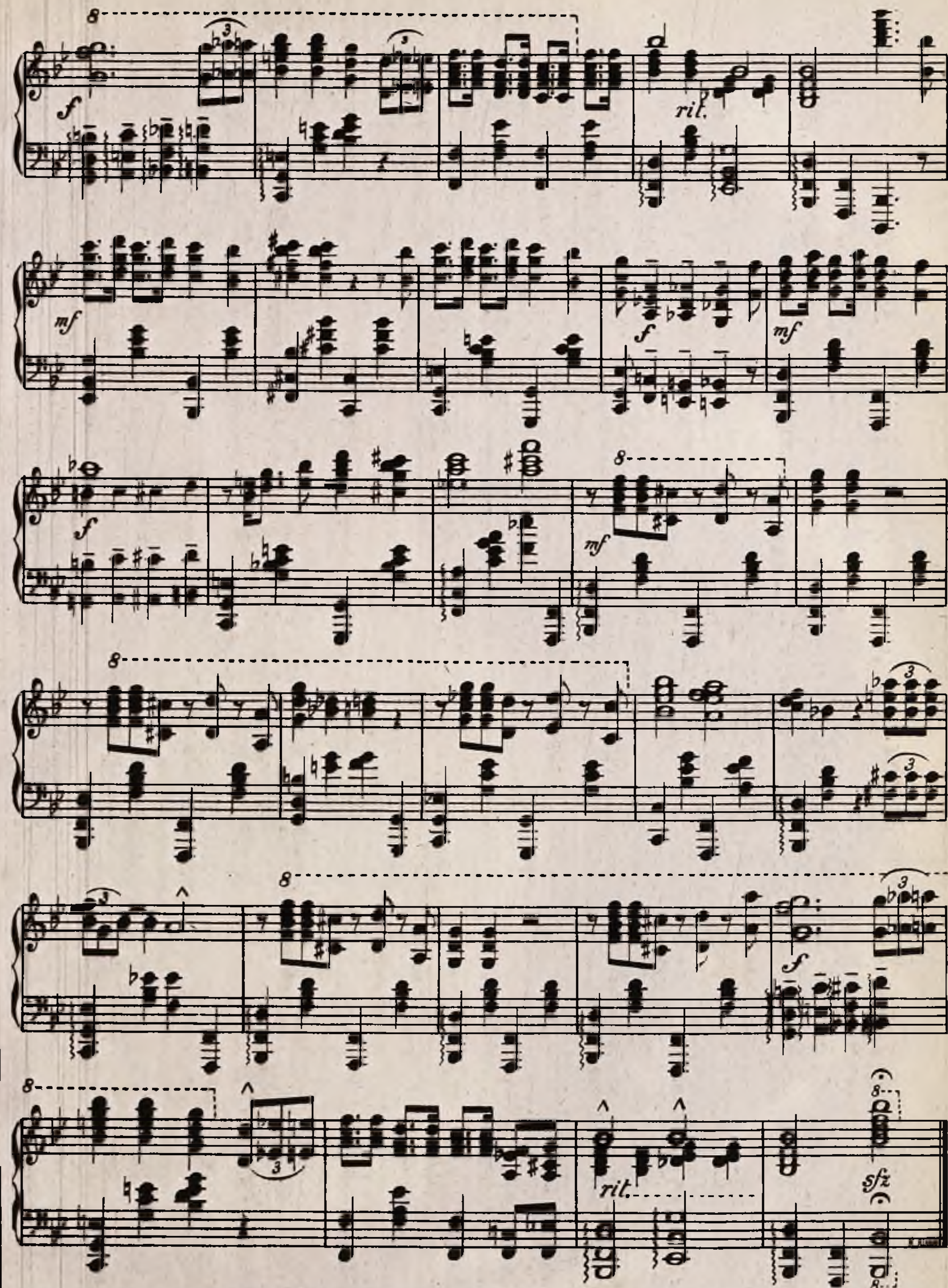
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

HALLO!

SLOW-FOX

muzyka: MIECZYSŁAWA CIECHANOWICZA







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 20.

Napisał H. WILD — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Za chwilę oddano trzeci strzał do Anglika — tym razem już ostrym nabojem — i to z odległości stu metrów. Tuż przed nim wstała spieniona fontanna z morza — i stateczek musiał wkońcu zrozumieć, że ta brualna zaczepka była pod jego adresem... Zatrzymał się więc.

— Co robisz, nieszczęsny! — krzyknąłem, chwytając za ramię Harcourta.

A on w odpowiedzi wyjąkał osłupiające wyznanie:

— Nie mam już węgla...

To, co zrozumiałem z tych słów, zaparło mi oddech w piersiach... Więc, żeby móc krążyć dalej po morzu — żeby zatrzymać przy sobie ukochaną — trzeba mu było węgla — i postanowił go zdobyć!

Naprawdę — w tych ostatnich godzinach życia, człowiek ten nie był spełna rozumu... Działał pod wpływem szaleństwa — może powierzchownego, przejściowego, zrodzonego w egzaltacji rozpaczy. Może pod wpływem szczęścia, szaleństwo to byłoby się później rozwiało bez śladu...

Nie będę się tu rozwodził... Nie lubię wspominać tej chwili... Wstyd mi... Jednem słowem, stanęliśmy równolegle, bok przy boku, z anglikiem — i Harcourt, jak zwykły korsarz podczas wojny, pod grozą dwóch naszych armat i tej załogi, złożonej z uzbrojonych bandytów — zmusił stateczek do wypełnienia węglem komór Fai-Tsi-Longa! Anglik nie był uzbrojony; załogę miał słabszą od naszej i prawdopodobnie składającą się z porządnych marynarzy, nie z takich łajdaków jak nasza... Patrzyli z osłupieniem na to co się działo, a kapitan, anglo-chiński metys, stawiał się ostro i żądał wyjaśnień. Nie otrzymał żadnych...

W tem wszystkiem był jeden szczegół, nad którym później zastanawiałem się długo... Harcourt pozostawił Linie całkowitą wolność poruszania się na okręcie. Zauważyłem że na odgłos strzałów wybiegła na pokład i stanęła za nami. Podczas owej operacji przeładowywania węgla, miała czas i możność zwrócić na siebie uwagę załogi anglika — wołać o pomoc — odkryć tym ludziom to, co w stosunku do siebie, nazywała gwałtem i przemocą. A jednak, kiedy zbliżyliśmy się do obcego statku, niezmuszona przez nikogo, ukryła się... Zeszła do kabiny i nie pokazała się więcej... Narazie nie mogłem zrozumieć jej zachowania. Potem przyszło mi na myśl, że po zastanowieniu się musiała uznać, iż nie byłoby się jej to przydało na wiele — i dała spokój.

Jeszcze jeden szczegół: całą tę operację nadzorował osobiście Harcourt. — Wstyd to był — czy ostrożność — ale z chwilą, kiedy zbliżyliśmy się do anglika, owinął sobie głowę i twarz jakąś szmatą tak, że mu tylko oczy było widać...

Stateczek angielski i Fai-Tsi-Long ruszyli po chwili każdy w swoją stronę. Odtąd czekałem już niechybnej katastrofy, która położy ostateczny koniec wszystkiemu.

Zaczynałem nienawidzieć tej kobiety, za wszystko zło, którego była przyczyną.

XIX.

Katastrofa — mówił dalej Rancé — nastąpiła nazajutrz.

Mogła była jeszcze opóźnić się o dwa, trzy dni — może o więcej. — Ale jak mówiłem, była nieunikniona.

Wieczorem dnia tego, kiedy Harcourt, w tak przedziwny sposób, zaopatrzył się w paliwo, znajdowaliśmy się na najdalszym punkcie w południowo-zachodniej części cieśniny Fokien. — Przed nami leżały archipelagi wysp Lamiel i Hai-tan.

Nie wiem, czy ma pan w oczach ten kawałek mapy świata. Między zatoką Tsi-Nan-Fu i Fou-Tczeu, na przestrzeni 100 mil, wybrzeże stanowi skała, niesłychanie twarda. Sam granit i porfir. Powyrzynane jest w dziwaczne półwyspy, dzikie i nagie, zarzucone olbrzymimi złomami kamieni — chłostane jest nieustannie falami, które zmywają zeń wszelką ziemię i roślinność. Niektóre z tych półwyspów sięgają daleko w morze. Otaczają je całe plejady wysp i wysepek. Powiedziałby kto, że olbrzym jakiś niósł na plecach wór kamieni i że w tem miejscu, wór pękł i ładunek rozsypał się po morzu. W okolicy miasteczka Fou-Tsing, konfiguracja tego wybrzeża przybiera najbradziej prononsowaną formę. Wrzyna się tam w morze występ skalisty, długości trzydziestu mil, a naokoło niego tłoczą się całe gniazda wysp, tworzących na morzu istny labirynt kanałów i zatok. Miejsce to jest chętnie uczęszczane przez męty i szumowiny, wałęsające się na tych wodach, między Morzem Wschodniem i Chińskiem.

Tam to Harcourt skierował swój okręt. Przez cały dzień widziałem, że wahał się i namyślał, co należy mu uczyni. Możliwem jest, że w tym wypadku zgubił go ten brak zdecydowania właśnie — tak dziwny u niego, bo zazwyczaj umiał prędko i jasno rozpatrzeć się w sytuacji i powziąć decyzję.

Skierował więc swój okręt do kanału między półwyspem, o którym wspomniałem i największą z wysp archipelagu Hai-Tan. Zatrzymaliśmy się w jednej z rozlicznych zatok u jej brzegu i Fai-Tsi Long zapuścił kotwicę. — Wszystkie te wyspy i kryjówki wśród nich roją się od piratów. Nasze draby z załogi znały doskonale to królestwo zbrodni i gwałtu.

Kiedy nasz okręt stanął na kotwicy, Harcourt zaczął włóczyć się bez celu po pokładzie, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca. Byłem wściekły na niego, ale kiedy przypomniałem sobie, że to rozpacz pchnęła go do tych szaleństw, złość moja topniała i żal mi go było serdecznie. Kiedy wreszcie przystanął i oparty o reling zapatrzył się w ciche, błyszczące w świetle zachodu wody między wyspami, podszedłem do niego.

— A teraz — spytałem — co zamierzasz?

— Jutro wyruszam na wyspy Palaos, albo na Karoliny — odparł z najzimniejszą krwią.

Osłupiałem, co widząc, począł mi przedkładać:

— Rozumiem, że cię to dziwi. Ale widzisz, historia z tym anglikiem... Już pierwej, przez to opóźnienie, nic dające się niczem usprawiedliwić, wpadłem w sytuację groźną... Teraz nie

sposób wyplątać się już... Jednem słowem, popłyniemy tam, dokąd mówiłem. Wylądujemy na jakiejś niezamieszkałej wyspie i pobędziemy tam czas jakiś.

— A ona? — zapytałem.

— Biorę ją ze sobą — odparł bez zająknienia. — Z jej powodu przecież jedziemy tam... — Umilkł na chwilę, a potem zaczął znów: — Tak, z jej powodu głównie... Bo nietylko dlatego, że zabrnąłem w to położenie bez wyjścia. Wiemy przecież oboje, czem stałaby się w rękach takiego Martigues! Rzuciłby ją wkrótce i poszłaby na marne... A tak, ja czuwać będę nad nią... Otoczę ją taką troskliwością i taką czcią — taki będę cierpliwy — że wreszcie będzie musiała zrozumieć, co mną powodowało — przebaczyć mi... I pokocha mnie wreszcie...

Mówił to z głębokiem przekonaniem, wykluczającem jakikolwiek sprzeciw.

— Bo widzisz — czas, to potężny sprzymierzeniec! Mając czas za sobą, zmuszę ją do miłości...

— A co zrobisz z Fai-Tsi-Longiem?

— Wrócimy tau z nim. Ukryjemy go w bezpiecznem miejscu i zostawimy go tutaj. Znajdę sposób, za pośrednictwem osób trzecich, by dać znać jego właścicielom — są to chińscy przedsiębiorcy okrętowi z Hong-Kong — gdzie mają go szukać. — A ty, czy jedziesz ze mną?

— Jak możesz przypuszczać, że rzuciłbym cię w takiem położeniu!

Uścisnął mnie silnie za rękę.

— Mój biedny stary! W jakąż tę dziką awanturę wciągnąłem cię!

— To wszystko nic, byle się tylko dobrze skończyła! Wiesz, że zrobiłbym wszystko dla ciebie.

— Ach, jakżeż to wszystko jest dziwne... Czyż mogliśmy przewidzieć, że znajdziemy się kiedy w podobnem położeniu, kiedyśmy służyli razem na „Republice"! — Ta beztroska wtedy — te marzenia o przyszłości... Taki się mocny czułem wtedy! — Pewność — wiara w przyszłość! — zaśmiał się ironicznie. — A jednak — zaczął znowu — los można zawsze nagiąć - zmusić szczęście, powodzenie, żeby dopisały. Tylko widzisz... Kobieta! Czynnik tajemniczy, nieobliczalny. Najpewniej przewidziane: los, przyszłość, powodzenie — nie ostoją się, kiedy jej tajemnicza myśl i działanie wejdą w grę...

Widzę go jeszcze w tej chwili... Był to ostatni wieczór, jaki spędziliśmy razem. Roztaczał przedemną swe marzenia, jak z bajki — i dziwaczne swe plany.

— Pokocha mnie. Przy moim boku — jestem pewny — że ta kobieta byłaby zdolną do wielkich rzeczy... W gruncie ona ma rację... Ta godność — ta duma, z jaką upomina się o swoją wolność! Widziałeś ją dziś popołudniu? — Była wspaniała — podziwiałem ją!

Przyznam się, że nie podzielałem jego zachwytu. Dla mnie, wyobraźnia jego, pod wpływem namiętności, przeobrażała kompletnie ukochaną kobietę. Jakże to dziwne, że miłość zdołała zagłuszyć tak wszystko inne, w człowieku, o tak potężnej indywidualności, jak on!

* * *

— Panie Rancé — zacytowałem mu wtedy — „znamiennem dla rozpoznania namiętności jest ta jednostronność, którą narzuca naszemu życiu duchowemu — to skierowanie wszystkich naszych sił żywotnych ku jednemu celowi — ten zanik wszelkich dążeń, które nie prowadzą do jedynie obchodzącego nas celu".

— Ciekawym — zapytał — czy taka namiętność, jak miłość, podnieciła więcej energji ludzkich do czynu — niż zdołała ich zniweczyć?

— Jest pewien filozof — odrzekłem, który rozwiązał tę kwestję w następujący sposób: „Kto wolnym chce zostać, niech samotnie lata".

— Tak — zawołał — to prawda! Harcourt powinien był „latać samotnie". Ale ptak, nawet najśmielszy, nie ustrzeże się często przed sidłami...

— Niech pan opowiada dalej — poprosiłem.

* * *

— Słońce zaszło za górami po chińskiej stronie — podjął znów swe opowiadanie. — W ostatnich jego promieniach, smutno odcinał się ten labirynt skalistych wysepek, naokoło kamienistego półwyspu. Podejrzane dżonki zawijały z pełnego morza do kryjówek archipelagu. Niosły przemytników, handlarzy opium i gorszą jeszcze branżę... A wszystko to podawało się za rybaków...



...owinął sobie głowę i twarz jakąś szmatą...

Noc zapadała. Staliśmy ciągle obok siebie, oparci o reling. Nie mówiliśmy nic, wsłuchani w nocną ciszę. Nagle, wśród ciemności na pokładzie mignęła mi jasna postać. Lina przeszła koło nas. Nie widziała nas. Mogła chodzić, gdzie chciała po okręcie — wiedziała, że nie grozi jej nic z jego strony. Zrozumiała, że człowiek ten patrzy na nią, jak na świętość... Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy gdyby się był zachował bardziej obcesowo względem niej, bardziej zdobywczo — kto wie... może byłby dopiął swego... Kobiety są takiemi zagadkami...

— To ona — szepnął. — Przeszła koło nas... Czyś zauważył, że nie wołała na pomoc, kiedy zatrzymaliśmy anglika?

— Tak, uderzyło mnie to.

— Więc zauważyłeś to także... Myślałem o tem później. To jest bardzo znamienne...

Podzieliłem się z nim mojemi przypuszczeniami, że prawdopodobnie zdawała sobie sprawę, iż nie przyda się jej to na wiele, bo zmuszonoby ją natychmiast do milczenia.

— O, nie! — odparł z uśmiechem. — Ona wie, że nie ośmieliłbym się wywrzeć na niej najlżejszego przymusu. To, że ją trzymam na tym okręcie, to co innego: to, żeby uchronić ją przed tym nędznikiem. Ale ona wie, że nie posunąłbym się dalej. Nie próbowała wołać o pomoc, bo niechciała. Bo w głębi duszy pragnie... abym... ją zdobył raz jeszcze! — Rance, tam, w tej samotni, w spokoju bezbrzeżnym, do którego ją wiozę — R ance, tam jej serce nakłoni się do mnie...

Patrzył na mnie błyszczącemi oczyma. Uderzyła mnie ta wiara głęboka w jego słowach. Czyżby miał jakieś dane, że tak mówił?...

— Tak — serce jej zwróci się do mnie — powtórzył. — Teraz już jestem tego pewny — i wszystko będzie mi nagrodzone!

— Przypuśćmy, że stanie się, jak mówisz — ale pozostanie ci na karku cała ta sprawa z okrętem...

Machnął lekceważąco ręką.

— To drobnostka. Mówiłem ci już, co zamierzam z nim uczynić. A potem pójdę w służbę Kuo-ming-tangu. Wiesz przecie, jak szybko zapomina się tu, w Chinach, w środowiskach europejskich o takich historjach.

I zaczął rozpowiadać mi o tym przyszłym pobycie naszym na jakiejś odludnej wyspie. Przypominam sobie, że wyspa ta miała wchodzić w skład grupy Palaos. Utrzymywał, że zna ją dobrze — że był na niej podczas jednej ze swych podróży.

— Wyobraź sobie ten spokój — mówił. — Ta cudowna roślinność, kąpiąca się w powietrzu, przepojonem słońcem i wilgocią. Ten bezkres morza wokoło... I ten odpoczynek, to wytchnienie dla ducha... Tam będzie mogła rozejrzeć się w sobie — bo teraz jej trudno... Tam wysłucha mnie cierpliwie — zrozumie — i wszystko się wyjaśni!

Światło latarni padało na jego twarz. Na tle nocy twarz ta, blada, otoczona aureolą jasności, była jedynym świetlistym punktem. Oczy świeciły mu wiarą — tą wiarą, która wypełnia go tak nagle — w tak dziwny sposób... Była tak mocną, że jeszcze trochę, a byłaby się i mnie udzieliła. Miałem wrażenie, że stoi przedemną dawny Harcourt. Ten mroczny, ponury wyraz, którego nabrał w ostatnich dniach, znikł z jego oczu — ustąpił miejsca szlachetnej i pełnej wiary ufności w przyszłość, wiary w szczęście! Nagle odezwał się:

— Wyda ci się to dziwnem, Rancé — ale mam przekonanie, że ona mnie **już kocha!**

Nie rzekłem nic na to. Bo cóż mogłem powiedzieć? — Czy w tem rozpaczliwem położeniu, w jakiem się znajdował, w tem podnieceniu namiętnem, przyszło na niego coś w rodzaju jasnowidzenia? — Czy dzięki jakiemuś szczególnemu przeczuleniu wrażliwości, było mu danem pochwycić tajemne dążenia serca młodej kobiety, nieznane może jeszcze jej samej, bo rodzące się zaledwie podświadomie w niej? — Lecz jeśli się mylił — myślałem — jeśli rzeczywistość brutalnie zada kłam jego złudzeniom — załamnie się wtedy ostatecznie, pogrąży w otchłań, z której już nie będzie wyjścia dla niego!

Ale nie poważyłem się zaprzeczać, ani sprzeciwiać mu. Taki był szczęśliwy tem marzeniem!

Nastała długa chwila milczenia. Nagle Harcourt pochylił się ku mnie i chwycił mnie za ramię. Drugą ręką wskazywał mi coś w ciemności. Biała suknia zbliżyła się znowu — przesunęła koło nas — i ciągnąc za sobą jakby świetlistą smugę, zniknęła w ciemności. Patrzył za nią z niezmiernem rozczuleniem — wreszcie gdy znikła, począł szeptać: (Ciąg dalszy nastąpi).

Gejsze w japońskiej herbaciarni.



Na lewo: Japońska herbaciarnia według minjatury z XVIII wieku.

Poniżej: Gejsza według japońskiego drzeworytu.



Słowo „gejsza“, to dla większości przeważnie synonim owej miłości przelotnej, to mieszkanka osławionej Yosziwary. Jest więc zrozumiałem, że w operze Pucciniego Madame Butterfly, nie chcąc zostać gejszą, popełnia harakiri. Japończyk zaś byłby zdumionym, może nawet oburzonym. Kobieta popełniająca harakiri, które jest wyłącznym przywilejem stanu rycerskiego, decydująca sama o swoim losie, to dla mieszkańca Kraju Wschodzącego Słońca gorszący, rewolucyjny zamach na usankcjonowaną moralność.

Nigdzie bowiem zdanie Nietzschego, że „kobieta powinna dla mężczyzny być tylko odpoczynkiem i wytchnieniem“, nie jest tak w pełni trafnem, jak w zastosowaniu do Japonji. Takie pojmowanie stanowiska kobiety znalazło przedewszystkiem swój wyraz w życiu małżeńskiem. Małżeństwo odbywa się prawie że bez jakiejkolwiek ceremonii religijnej, bez udziału państwa. Mężczyzna porozumiewa się z rodzicami wybranej kobiety, a gdy transakcja dojdzie do skutku, sprowadza ją jako małżonkę do swego domu. Zdanie kobiety, najbardziej w tem wszystkiem zainteresowanej, prawie że nic nie znaczy. Odtąd dom męża jest całym jej światem. Jej stanowisko wymaga ciągłych ofiar, a przedewszystkiem ofiary jej piękności. Żąda się bowiem od niej, by stała się niepozorną, by w zupełności wyrzekła się tak naturalnej u każdej kobiety, chęci podobania się. Wychowywanie dzieci i prace domowe wypełniają całe jej życie. Natomiast mężczyzna ma wszelką wolność. O jakimkolwiek sprzeciwie ze strony kobiety niema mowy, jeśli nie chce, by mąż się z nią rozwiódł — co może uczynić w każdej chwili bez większych trudności.

Oczywiście nie znaczy to, by w Japonji nie istniały szczęśliwe małżeństwa, kochające się szczerze. Lecz miłość jest tu raczej czemś wtórnem, ową „wielką wygraną“ na loterji życiowej Japonki, którą obdarza ślepy przypadek, a na co ona sama nie ma najmniejszego wpływu. Pierwszym obowiązkiem kobiety japońskiej, to posłuszeństwo. Jakiegokolwiek samodzielnego zdania, własnego życia duchowego nie uznaje się u niej. Tysiącletnie przyzwyczajenie, powszechnie obowiązująca formalna grzeczność, dają łatwo złudzenie, że życie rodzinne jest tu właśnie dzięki zupełnemu podporządkowaniu kobiety bardziej spokojnem i szczęśliwem, niż gdzieindziej

Tak było chyba do niedawna — pomyśli czytelnik — bo przecież nagły zwrot Japonji do cywilizacji zachodu, który postawił ją pod względem materjalnym obok najpotężniejszych reprezentantów naszej kultury — musiał odbić się także na życiu domowem! Otóż istnieje wprawdzie poważny ruch kobiecy, walczący o samodzielność Japonki, o jej prawo wyboru i stanowienia o swoim losie, lecz ogranicza się on jedynie do warstw najwyższych, a i tu wyniki jego są bardzo nikłe. Bowiem jak wyrazem ostatniej współczesności i najnowszych zdobyczy jest wszystko to, co dotyczy techniki, nauki i zewnętrznego życia w wielkich miastach, tak niezmiennemi i tradycyjnemi są zwyczaje i obyczaje, a przedewszystkiem życie rodzinne Japonji.

Tradycyjne i od tysiącleci niezmienne jest też stanowisko gejszy. Nie ma ona nic wspólnego z mieszkanką „dzielnicy kwiatowej“, Yosziwary, która wystrojona, z biało upudrowaną szyją, uróżowanemi policzkami i z pozłacanemi wargami oczekuje hojnego kochanka. Gejsza to coś w rodzaju „damy do towarzystwa“, doskonale obeznanej z wszystkiemi tajnikami i finezjami skompli-

Dokończenie na stronie 31-ej.

Poniżej: Oto powitalny ukłon, który staje się udziałem każdego gościa.



Poniżej: Wybór gejszy dokonywuje się przy pomocy „katalogu“.



Poniżej: Gejsze przedstawiają się nowoprzybyłym gościom herbaciarni.



Poniżej: Przy uczcie Japończycy stosują skomplikowany ceremonjał towarzyski.



Poniżej: Tańcem i śpiewem zabawiają się goście w herbaciarni.



futra PIĘKNEJ PANI

Jesteśmy świadkami, jak moda staje się coraz bardziej rafinowana, w tem zresztą najbardziej dodatniem znaczeniu tego słowa, bo dąży do wydobycia z każdego materjału czy modelu jego cech najbardziej charakterystycznych, nie lękając się pewnej surowości wyrazu, jaki przytem niejednokrotnie się uzewnętrznia. To też niema dziś brzydkich twarzy — są tylko interesujące lub charakterystyczne, niemą materjałów nieefektownych — są tylko delikatne lub nieco brutalne w swej tkackiej fakturze.

Niema też brzydkich futer — wszystkie niemal są noszone równocześnie, a tylko ceny ogromnie dla niektórych gatunków wygórowane, decydują o możliwościach przystosowania ich do budżetu pani. — Wróciły też do łask małpy, choć nie brak głosów, żądających całkowitego ich uchylenia z rynku futrzarskiego dla względów powiedzmy... darwinowskich.

Nie przeszkadza to jednak lansowaniu małpiego futra. Trudno. Żyjemy w czasach, kiedy wyrabia się materjały z... poobcinanych ongiś długich warkoczy, nietylko zresztą kobiet. Wiadomo... I do Chin dociera cywilizacja zachodnia, a z nią strzyżone głowy męskie.

Więc małpy są narazie faworyzowane przy innych zresztą licznych rodzajach futer. Przemawia za niemi długi a rzadki stosunkowo włos, który daje nowe i dość nieoczekiwane efekty w zastosowaniu do obramowywania kołnierzy, manszetów, brzegu żakietów, ba, nawet parasoli, kapeluszy czy torebek.

Lansuje je Londyn, który ostatnio silnie konkuruje z Paryżem o berło władania światem mody, no i oczywiście światem kobiet. Czy mu się to uda — niewiadomo, ale Front Ludowy podważył silnie egzystencję wielkich domów mody w Paryżu, więc okazja do przejścia dyktatury mody do Londynu jest wielka i ponętna. Znów odbędą się wielkie uroczystości dworskie przy koronacji króla-gentlemena, a magazyny mód przygotowują się do niej długie miesiące. Cały highlife weźmie udział, okazja dla świata mody niezwykła.

Musimy zatem baczną zwracać uwagę na modę angielską i śledzić cichą walkę, jaka się toczy ponad kanałem La Manche, który łączy i... dzieli Londyn i Paryż.

Oprócz małp widzimy w Londynie i w Paryżu wszelkie inne futra, czy to jako przybranie wełnianych płaszczy i kostjumów, czy jako płaszcze, cape i czapeczki.

Cenniejsze gatunki futer, jak sobole czy nurki szyte są jak najprostszemi fasonami. Walor futra ma stanowić ich najcenniejszą zaletę, a nie specjalnie charakterystyczny krój czy wykończenie. Jedyne odstępstwo czyni się dla gronostaji, których śliczne ogonki są nadal wykorzystywane do fantazyjnego ozdabiania futra.

Futra o konsystencji aksamitu, jak Breitszwance, czy francuskie źrebce, służą do wykonywania kostjumów, przyczem krój spódniczki może być nawet kloszowy, tak wysoko stoi sztuka kuśnierska, że traktuje te gatunki futer na równi z wełną czy aksamitem.

Czarne i popielate baranki perskie idą na całe futra, których krój bywa bardzo rozmaity. Wolne, saczkowate płaszczyki lub wcięte w pasie redingoty są równie modne, jak i 3/4-owe żakiety lub silnie obcisłe malutkie żakieciki.

Najwięcej jednak rozmaitości dają połączenia futra z materjałami. Coraz większe partje materjałów zastępuje się futrami lub zwiesza np. całego lisa zgóry na dół od kołnierza płaszcza. Lisy są niezastąpione na wieczór, gdzie konkuruje z nimi tylko wieczorowy cape. **Mewa.**



Wieczorowy cape sobolowy, o kroju kloszowym, przy poprzecznym układzie skórek,

Poniżej od lewej: Wieczorowy angielski żakiet gronostajowy. – Młodociany płaszczyk z popielatego baranka z takąż czapeczką.







Paryski model wieczorowego cape gronostajowego, przybranego na ażur ogonkami.

ŻYCIE TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

PAN PREZYDENT W WIELKOPOLSCE



Po przybyciu Pana Prezydenta Mościckiego do Poznania odbyła się ostatnio uroczystość wręczenia Mu przez uniwersytet poznański dyplomu doktora „honoris causa". — Pan Prezydent, interesujący się żywo życiem zachodniej naszej dzielnicy, udał się następnie w małą podróż krajoznawczą do Lednicy w powiecie gnieźnieńskim, gdzie zwiedził poświęcone niedawno ruiny pierwszej polskiej świątyni chrześcijańskiej. Na zdjęciu naszem widzimy Pana Prezydenta wraz z Małżonką oraz w towarzystwie adjutanta podczas przeprawiania się motorówką na wyspę, gdzie znajdują się ruiny. Fot. „As"

ŚLUB CÓRKI GENERAŁA SIKORSKIEGO



W majątku Parchanie pod Inowrocławiem odbył się ostatnio ślub p. Zofji Sikorskiej, córki gen. Władysława i Heleny z Zubczewskich Sikorskich z p. Stanisławem Leśniowskim, szefem wydziału w Tow. Kred. Ziemskim, synem p. Stanisława, nacz. dyr. Muz. Przem. i Roln. w Warszawie i Wacławy z Duninów-Borkowskich. Błogosławieństwa młodej parze udzielił długoletni towarzysz broni ojca panny młodej ks. prałat Pilin, a ks. ks. kardynałowie Hlond i Kakowski, oraz liczni dostojnicy kościelni nadesłali swe błogosławieństwo. Zdjęcie nasze przedstawia powitanie państwa młodych przez dziatwę miejscową. Gen. Sikorski widoczny jest na drugim planie po lewej stronie.

ANGIELSKI HOLLYWOOD



W miejscowości Iver, Buckinghamshire, Anglja, stworzono ostatnio miasto filmowe, które pod względem urządzeń, położenia oraz organizacji technicznej, przewyższa dotychczasową metropolję filmu — Hollywood. Uroczyste otwarcie miasta filmowego, nazwanego „Pinewood", odbyło się w obecności 1200 gości i 20 gwiazd filmowych „wielkiego kalibru". Miasto zbudowane jest na obszarze 50.000 m kw. i posiada 8 scen. Oddawna już film angielski starał się opanować przynajmniej własny rynek i konkurować z filmem amerykańskim. Należy więc przypuszczać, że przejdzie obecnie do ofensywy! Zdjęcie nasze wyobraża nowe Hollywood z lotu ptaka.

PRACE POLSKICH ARTYSTÓW W GDYNI



W bieżącym roku powstał w Gdyni kościół marynarza szwedzkiego, a budową jego zajął się specjalny komitet z szwedzkim kons. gen. p. inż. Napoleonem Korzonem, dyr. Michałem Freydbergem i pastorem Danielem Cederbergem na czele. Dekoracje kościoła wykonali w postaci ściennych malowideł zdolni malarze lwowscy: p. Witold Mars oraz p. Stanisław Tesseyre. Na naszem zdjęciu widzimy jeden z obrazów ściennych, przedstawiający powołanie pierwszych apostołów, pendzla p. W. Marsa. Kaplica jest jednym z nielicznych zabytków artyst. Gdyni, tem więcej też zasługuje na wzmiankę.

Foto-Elite — Gdynia.



To tańczy „Balet Parnella"!

„*Wielcy artyści są najlepszymi ambasadorami swych krajów*".

Kto wypowiedział te słowa, nie pamiętam. Wiem tylko, że wyrażają one niezaprzeczalną prawdę, popartą dowodami z życia wielu słynnych muzyków, malarzy, pisarzy itd. U nas może nawet w szerszych ramach, niż w niejednem innem państwie, wystąpiła ta prawda na triumfalnej drodze „króla tonów" — mistrza Paderewskiego, w skromniejszej mierze w karjerze śpiewaczej znakomitego naszego tenora Jana Kiepury i in.

Poza osobą Paderewskiego przeprowadzenie pewnej gradacji napotka zawsze na trudności, a wszelkie porównania zasług jednostek na polu propagandy naszej sztuki zarówno za granicą, jak i w kraju mogą wywołać tylko niepotrzebne dysonanse. Dlatego najkorzystniejszem będzie, jeśli podkreślimy ogólne, wielkie znaczenie sukcesu każdego polskiego artysty zagranicą.

naszej sztuki nietylko zagranicą, ale i w własnym kraju.

Atmosfera, którą wywołały sprawozdania z występów zagranicznych zespołu, spowodowała, że przyjazd „Baletu Parnella" do kraju stał się dla wielu niepowszednią sensacją artystyczną. Ale myliłby się ten, ktoby sądził, że droga tournée laureatów Olimpjady po naszych miastach zawczasu już była usłana kwiatami. Po „zdobyciu" zagranicy zespół Parnella musiał dopiero „zdobywać" Polskę, z której wyruszał na „podbój" Europy w atmosferze sceptycyzmu i niewiary w możliwość sukcesu na obczyźnie. Świadczyły o tem choćby głosy prasy stołecznej,



Scena z baletu „Praca i zmysły".



Zizi Halama i Feliks Parnell w balecie „Wesele łowickie".



Alicja Halama, jedna z najwybitniejszych solistek baletu Parnella. *Fot. Berland — Paryż.*

granicą mogą wywołać tylko niepotrzebne dysonanse. Dlatego najkorzystniejszem będzie, jeśli podkreślimy ogólne, wielkie znaczenie sukcesu każdego polskiego artysty zagranicą.

Tak rzecz ujmując, nie możemy przejść do porządku dziennego nad wynikami wielkiego tournée „Baletu Parnella" po krajach europejskich i co ważniejsze, nad niezwykle doniosłym sukcesem tego zespołu na Olimpjadzie tanecznej w Berlinie.

Uzyskanie tam pierwszego miejsca — nagrody, o której marzą wszystkie zespoły świata — zwróciło oczy całej Europy na „Balet Parnella". Posypały się zaproszenia ze wszystkich niemal stolic i te zapoczątkowały triumfalny pochód naszych tancerzy przez sceny i estrady Niemiec, Francji, Szwajcarji, Włoch. Gorące przyjęcie ze strony publiczności tych państw, które niejednokrotnie przemieniało się w manifestacje sympatji dla Polski, entuzjastyczne głosy krytyków, wśród których nieraz widniały nazwiska powag w dziedzinie choreografji, wreszcie współudział wielkiego Lifara w występach baletu na terenie Francji — wszystko to napawało nas słuszną dumą i utwierdzało w przeświadczeniu, że w osobie Feliksa Parnella i członkach jego doskonałego zespołu zyskaliśmy nowy, niezwykle wartościowy czynnik propagandowy narodowej



Młodą, lecz wysoce utalentowaną artystką jest Janina Leitzkówna. *Fot. Berland — Paryż.*



Niezrównaną kreację baletową stworzył Feliks Parnell jako Janosik.

która nie wahała się nazwać tę imprezę „porywaniem się z motyką na słońce".

Dziś, gdy po niebywałych sukcesach w szeregu naszych miast rozgrzały się do białości serca polskiej publiczności, gdy coraz częściej odzywają się głosy, że to od niepamiętnych czasów naprawdę pierwszy nasz świetny zespół taneczny, który nam tylko sławy przyczynić może — jakże śmiesznemi wydać się każdemu muszą owe zastrzeżenia, przestrogi i obawy, które zamiast subwencji spłynęły na głowy tancerzy w chwili ich wyjazdu z Warszawy na Olimpjadę.

„Nemo propheta in sua patria" — zrozumiał to Parnell — i po długich miesiącach mozolnej pracy na obczyźnie, uzyskał patent, otwierający mu w kraju podwoje, które dawno przedtem powinny były stać dla niego otworem.

Mimo, iż już parokrotnie pisaliśmy na łamach naszego magazynu o „Balecie Parnella", pokusimy się dziś o zdefinjowanie, na jakich elementach oparło się wyjątkowe powodzenie tego zespołu. Tych elementów wymienimy trzy, a są nimi: mistrzowska choreografja — niezwykle barwna i wysoce artystyczna oprawa kostjumowa i dekoracyjna — oraz, co równie ważne, umiejętny dobór wartościowej ilustracji muzycznej.

Sam taniec! — o nimby można pisać w nieskończoność. Dwa słowa najlepiej go określą: żywioł i elegancja. To, co od pierwszej chwili spektaklu obserwujemy, wprost nas oszałamia i zniewala do ustawicznego przerzucania wzroku z grupy na grupę, z postaci na postać. A wszystkie one wirują w niekończącym zda się zapamiętaniu — do ostatniego tchu w piersiach, ostatniego uderzenia serca, które bije dla umiłowanej sztuki. Dlatego to taka „Roztańczona Baba", choć jest tylko groteską taneczną, stanowi może najwierniejszą syntezę temperamentu „Baletu Parnella". Jego wartości malarskie występują na plan pierwszy w „Wieczorze panieńskim", przepięknej kompozycji, opartej wyłącznie na tematach chopinowskich. Podziwiamy w niej przedewszystkiem smak i kulturę w odtworzeniu pełnego poezji fragmentu życia dawnego polskiego dworku szlacheckiego. Bierze nas zadzierżystość ułanów księcia Józefa — frapuje powaga kontuszowców — ulegamy czarowi wiośnianych postaci mieszkanek dworku, które wspaniałym wieńcem otaczają pannę młodą w ostatni jej wieczór panieński. Poddajemy się nastrojowi scen, które jak subtelnie tkana pajęczyna wiążą nam serca, bijące raz w takt roześmianego mazurka, to łkającego preludjum, to znowu przymilnego walca. I wtedy pewnie niejeden z nas odnajduje w dawno uśpionych wspomnieniach jakiś odległy epizod życia — może stary obraz, pod którym bawił się, dzieckiem jeszcze będąc — a może fragment powieści,

(Ciąg dalszy na str. 31).



W kole: P. Zygmunt Wiehler, kierownik muzyczny baletu Parnella i twórca licznych wartościowych utworów baletowych.

Poniżej: Świetna para tancerzy Zizi Halama i F. Parnell w balecie „Lajkonik".





Zizi Halama i Feliks Parnell w kompozycji tanecznej p. t. „Wieczór panieński".



Janina Leitzkówna w balecie „Roztańczona baba". (z albumu „Ballets Polonais Parnell").

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA Z DYNI. Pół kg dyni oczyścić i pokrajać w kawałki, włożyć do ryneczki, dodać 6 dkg masła, 15 dkg tartej bułki i pół litra wody. Gotować na słabym ogniu, mieszając od czasu do czasu, aż się utworzy jednolita masa, którą się przeciera przez sito, rozprowadza rosołem i zaprawia kilkoma łyżkami gęstej śmietany. Zupę gotuje się jeszcze przez 15 minut wśród ciągłego mieszania, poczem się ją wydaje na grzankach z bułki.

KLUSECZKI WĄTROBIANE DO ZUP. Uskrobać nożem 10 dkg wątroby cielęcej, o ile nie jest jeszcze miałka, przetrzeć przez sito. Małą cebulkę startą na tarce, usmażyć na maśle z łyżeczką siekanej zielonej pietruszki. Łyżkę masła utrzeć z 1—2 żółtkami, dodać startą wątróbkę usmażoną cebulkę, pianę i łyżkę tartej bułki, zwilżonej mlekiem. Z masy tej formować małe kulki i gotować przez 8 minut w słonej wodzie, której potem użyć można na zupę.

SAŁATKA Z SUROWEJ BIAŁEJ KAPUSTY. Główkę białej kapusty poszatkować możliwie jak najcieniej i wyłożyć na sito i sparzyć wrzącą wodą. Osączoną dać na miskę i posolić. Po dwóch godzinach wyciska się ją i zalewa wrzącym, niezbyt mocnym octem, przykrywa, a po chwili ocet się zlewa, zagotowuje i ponownie zalewa kapustę. To powtarza się 3—4 razy, poczem ocet się odcedza. Żółtko z oliwą uciera się na majonez, dorabia smak cukrem, solą pieprzem i octem lub sokiem cytrynowym i miesza z wyłożoną na salaterkę kapustą.

KURCZĘTA A LA GOURMET. Oczyszczone i posolone kurczęta udusić na maśle, podzielić każde na cztery części, ułożyć na metalowym lub ogniotrwałym półmisku i obsypać suto parmezanem. Osobno rozkłócić w szklance mleka dwa jaja, 1 żółtko i łyżeczkę mąki, posolić i ubić na parze na gęsty krem. Kremem tym pokryć kurczęta na półmisku, posypać bułeczką, zmieszaną z parmezanem, polać masłem i wstawić do piecyka na 15—20 minut, aby się zrumieniły. Podaje się obłożone jarzynkami lub ryżem, albo też krokietkami z móżdżku.

RURKI Z PIANKĄ LUB ŚMIETANKĄ kupowane zwykle w cukierni można łatwym sposobem sporządzić w domu. Musimy się tylko zaopatrzyć w blaszane rurki około 10 sztuk, na które się ciasto francuskie nawija. Przepis na ciasto brzmi: 25 dkg suchej mąki posolić, dodać żółtko, sok z połowy cytryny i wody, tyle aby można było ubić dość tęgie ciasto, które należy wywałkować w kwadrat i położyć na środek 25 dkg twardego masła, poprzednio dobrze z wody wyciśniętego i serwetą osuszonego. Masło się rozpłaszcza i zawija brzegi ciasta, tak, aby masło nigdzie nie przeglądało. Następnie wałkuje się ciasto ,zawsze w jedną stronę, składa w troje, wałkuje znowu itd. 5 do 6 razy, robiąc pauzę półgodzinną między jednem a drugiem wałkowaniem. Wkońcu kraje się ciasto w kwadraty 15-centymetrowe, owija niem obsypane mąką rurki blaszane, ustawia na blasze i piecze w dość gorącym piecu. Z ciepłych jeszcze wyciąga się rurki, aby się ciasto nie pokruszyło. Wkońcu, po zupełnem ostudzeniu napełnia się rurki pianką lub bitą śmietanką.

WĄTROBA SARNIA jest przysmakiem, podawanym przy myśliwskich śniadaniach. Sposoby przyrządzania są bardzo rozmaite. Najszybszy sposób jest następujący: **Wątroba sarnia w czerwonem winie.** Zupełnie świeżą wątrobę, obciągniętą z błony, kraje się w plasty, osmaża z obu stron na rozpalonem maśle (po 3 minuty z każdej strony). Płatki wątroby układa się w krąg na półmisku i stawia w cieple (na parze). Na pozostałym tłuszczu wysmaża się pokrajaną w paseczki cebulę na złoty kolor, zalewa małym kieliszkiem czerwonego wina, dodaje szczyptę soli i tłuczonego jałowca i polewa tym sosem wątrobę.

W taki sposób przyrządzić można wątrobę tuż po polowaniu na leśniczówce lub nawet na ognisku w lesie. Trochę więcej zachodu wymaga inny sposó, np.

WĄTROBA SARNIA W KOSZULKACH: osmażone z obu stron plastry wątroby osypuje się tartym parmezanem, wymieszanym z tłuczonym jałowcem i tartym tymiankiem .Tak przygotowane plastry wątroby wkłada się między dwa cieniutkie płatki bułki, zwilżone mlekiem ściska się je razem, macza w rozbitem jajku, panieruje w mące i bułeczce i smaży pływająco w maśle.

WĄTROBA SARNIA W CAŁOŚCI. Należy ją naprzód sparzyć wrzącą wodą, następnie naszpikować gęsto słoniną szybko upiec w piecyku, polewając masłem, (10—15 minut wystarczy). Wyjmuje się wątrobę na półmisek, kraje cienko: sosem podprawionym łyżką śmietany na zupełnie gęsto pokrywa się mięso. Jako dodatek ostra sałata, rydze kiszone lub prawdziwki duszone.

PILNA CZYTELNICZKA „ASA" Z SOŁOTWINY. 1) Przepisy na przyrządzanie kabaczków dajemy w osobnym artykule. 2) Jarzyny oczyszczone i pokrajane suszy się nad piecem kuchennym. Czy będą tak wyglądać, jak sklepowe? Nie bardzo to pewne. Wartość w użyciu będzie z pewnością taka sama. **Sc. Ko.**

Nowości gospodarstwa domowego



Wśród nowych sprzętów, przeznaczonych do gospodarstwa domowego, zwracają uwagę dwie nowości, a mianowicie: przyrząd (na lewo) do wsypywania miałkiego cukru do kawy, czy herbaty. Cukier wypada z niego w równych porcjach, a przyrząd chroni go od zakurzenia. Na prawo widzimy przyśrubowaną do ściany maszynkę do mielenia kawy, w której można ją również przechowywać w większej ilości. Zmielona kawa sypie się wprost do szklanego zbiornika, w którym nie traci miłego aromatu.



7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

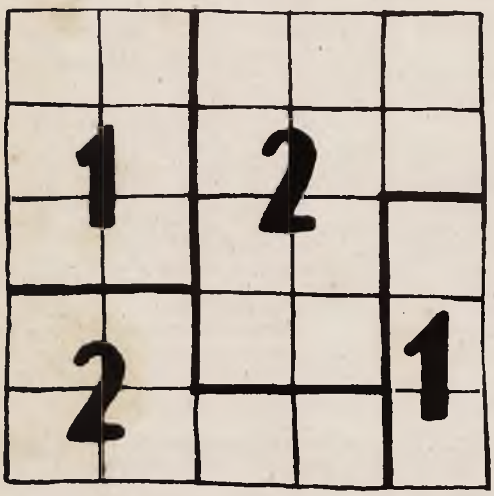
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 42 **Październik** Dni 31
Niedziela **11** Wincentego	Zupa ragoût z drobiu i jarzyn. Móżdżek w muszelkach. Kuropatwy z czerwoną kapustą i francuskiemi kluseczkami. Rurki francuskie z pianką owocową. <u>Kolacja</u>: Pasztet zajęczy lub rulada z kaczek na zimno z sałatą.
Poniedziałek **12** Maksymiljana	Zupa kalafiorowa. Ziemniaki faszerowane z sosem pomidorowym. Bite zrazy z kaszką krakowską. Krem z orzechów laskowych. <u>Kolacja</u>: Omlety z szpinakiem.
Wtorek **13** Edwarda kr.	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa z sosem chrzanowym z jajami. Pieczeń zajęcza z makaronem i borówkami. Sernik. <u>Kolacja</u>: Ozorki cielęce w pomidorowym sosie.
Środa **14** Kaliksta pap.	Zupa grochowa z grzaneczkami. Płucka cielęce w sosie cytrynowym z kluskami bułczanemi. Polędwica wieprzowa z sałatą z surowej kapusty. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Jaja na szynce.
Czwartek **15** Teresy, Jadwigi	Zupa z dyni. Pasztet z dziczyzny na gorąco z grzankami. Kurczęta á la gourmet z duszoną kapustą. Kruchy placek z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Wątroba sarnia w koszulkach.
Piątek **16** Jadwigi ks. śl. O.	Barszcz zabielany. Kotlety ziemniaczane z grzybowym sosem. Karp w maśle pieczony z domowym makaronem. Buchtle z konfiturami. <u>Kolacja</u>: Bukiet jarzynowy.
Sobota **17** Lucyny, Mał.	Zupa grzybowa z płatkami. Rizotto z groszkiem zielonym. Pieczeń barania na dziko z buraczkami. Strudel z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Piklingi, szprotki itp.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 40-go.

PIĘKNY OBRUS.



Rozwiązanie zadania wskazuje rysunek.

ROZMOWA ZE SŁUŻĄCĄ.

Ponieważ służąca usłyszała trzecią literę nazwiska, więc zbyteczne było pytanie „R jak co?", i dlatego pan Skrzat uważa ją za nieinteligentną. Nie jest to wszakże pewny dowód braku inteligencji. Służąca jego przyjaciela mogła mieć zmysł humoru lub cierpieć na głód wiedzy.

DWA OKRĘTY.

Błąd leży w przypuszczeniu, że oba statki mają jednakową średnią szybkość. Pierwszy okręt robi milę w dwunastą część godziny w drodze w jedną stronę, i w ósmą część godziny w drodze powrotnej. Połowa sumy tych ułamków wynosi pięć czterdziestych ósmych, a więc średnia szybkość w osiemsetmilowej podróży równa się mili w pięć czterdziestych ósmych godziny, podczas gdy średnia szybkość drugiego okrętu równa się mili w jednej dziesiątej godziny.

DOBRA RECEPTA.



— Po wodzie, którą mi pan polecił, zzieleniały mi włosy!

— Szanowna pani miała wyjątkowe szczęście, innym klientkom zupełnie wypadły...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TESTAMENT.

Umierający robi testament, mocą którego swój cały majątek zapisuje żonie i mającemu się urodzić dziecku. Jeśli to będzie syn, wówczas przypadną mu dwie trzecie, żonie zaś jedna trzecia zapisu; jeśli to będzie córka, przypadnie jej jedna trzecia, a żonie dwie trzecie. Urodziły się bliźnięta — córka i syn. Jak należy rozdzielić majątek?

KLUCZ DO SKRZYNKI.

Pewien pan, wyjeżdżając na lato, zapomniał powiedzieć służącej, że kluczyk od skrzynki do listów pozostawił w lewej szufladzie biurka. Ponieważ chciałby, aby mu służąca przesyłała nadchodzącą korespondencję, a wie, że jej nie przyjdzie na myśl poszukać w biurku, więc natychmiast napisał do domu z poleceniem wyjęcia kluczyka i stałego wysyłania listów. Mimo to wszakże czekał naprożno, choć listy musiały niewątpliwie przychodzić. Dlaczego służąca nie przesyłała listów swemu panu?

Dokończenie ze strony 25-ej.

kowanego japońskiego ceremonjału towarzyskiego, zabawiającej gościa rozmową, deklamacją, tańcem i śpiewem. Dzięki niej herbaciarnia japońska, odpowiednik naszej kawiarni, staje się jakby kabaretem. Za czas, spędzony z gośćmi, jest ona przez nich wynagradzana według specjalnej taryfy. Możnaby ją porównać do owych heter greckich, które towarzyskiemu życiu z czasów Peryklesa nadawały swój specjalny urok. Tylko co tam było wynikiem wolnego wyboru, wrodzonych darów umysłu i naturalnego wdzięku, to w Japonji jest wynikiem przymusu i tresury. Bowiem samodzielność i wolność gejszy jest tak samo ograniczoną, jak każdej innej kobiety japońskiej. Gejszą nie zostaje ona z wolnego wyboru, lecz z woli rodziców i od małego dziecka przygotowuje się ją do przyszłego zawodu. Jej osobiste zdanie, możliwość psychicznych konfliktów, nikt nie bierze pod uwagę — zarówno gdy chodzi o przyszłą gejszę, jak i o przyszłą małżonkę.

A teraz, obcy przybyszu, jeśli chcesz sam osobiście zwiedzić japońską herbaciarnię, to nie zapomnij przedewszystkiem zdjąć twego ciężkiego, europejskiego obuwia, byś nie zniszczył kosztownych mat, pokrywających podłogę. Inaczej będą cię uważali za źle wychowanego, gruboskórnego „białego djabła" i na pewno nie zaprowadzą cię do najlepszego, najpiękniejszego pokoju. Usiądź z podwiniętemi nogami na poduszce i przyjmij przedewszystkiem z godnością podaną ci, tradycyjną herbatę przywitalną. Bądź uprzejmym i jeszcze raz uprzejmym! Wtedy chętnie przyprowadzi ci sam właściciel gejsze, wybrane przez ciebie z ozdobnego albumu, gdzie i ceny są zaznaczone. Muzyką, śpiewem i rozmową umilą ci one posiłek. Z ust ich trudna mowa japońska popłynie tak słodka, jak włoska z ust Madame Butterfly. Lecz zapomnij o bohaterce Pucciniego! Nie na miejscu byłyby tu jakiekolwiek operowe tragedje! Każ sobie recytować liryczno-fantastyczne dzieje księżniczki Nukady, lub przemyślne aforyzmy pielgrzyma Matsuo, każ gejszom śpiewać i tańczyć. Lecz dopiero w towarzystwie prawdziwych Japończyków odczujesz cały urok, całą dziecięcą bezpośredniość, tkwiącą pod wszelką towarzyską tresurą waszych płatnych towarzyszek. Wtedy może być nawet bardzo wesoło i gwarno, przy sake, mlecznem, musującem, japońskiem winie ryżowem, i przeciągłym akompanjamencie samissy. Ubawisz się serdecznie, jak dziecko — i na pewno nie będziesz tak małostkowym, by pomyśleć o pieniądzach, które przezorny właściciel zgóry już od ciebie pobrał! **Wiktor M.**

Dokończenie ze strony 29-tej.

której treść tak żywo stanęła mu przed oczami w chwili, gdy na scenie zobaczył żywe jej odbicie...

* * *

Cztery obrazy, nagrodzone na Olimpjadzie tanecznej w Berlinie: „Lajkonik krakowski", „Umarł Maciek, umarł...", „Wesele łowickie" i „Dożynki" — to prawdziwa rewja Polski ludowej. Maestrja ewolucyj tanecznych, opartych na głęboko przemyślanych scenarjuszach, przepyszna barwa stylizowanych strojów ludowy na tle oryginalnego paneau dekoracyjnego, składają się na widowisko porywające i niezapomniane.

Na czele zespołu tańczy para, która dziś osiągnęła już poziom światowy. To Zizi Halama i Feliks Parnell. On kapitalnie dopełniający każdy fragment starannie przez siebie opracowanego obrazu, daje w „Łuczniku" Maklakiewicza indywidualną kreację taneczną najlepszego gatunku. Niezwykła plastyka każdego ruchu, stonowana harmonja całej kompozycji, bardzo logicznie rozwiązującej trudny w założeniu temat, przykuwają uwagę widza i tłumaczą mu zawiłe problemy pięknej ilustracji muzycznej.

Jeśli cały zespół Parnella porównamy z ogniem, który w oka mgnieniu zalewa scenę, to Zizi Halama będzie w nim najgorętszym płomieniem. Ta rasowa tancerka spala się dosłownie w tańcu, który ją ponosi z desek sceny na ramionach partnerów aż gdzieś po szczyty kulis. Potrafi jednak dać skupioną, pełną ekspresji kreację, w której każdy gest odznacza się nieskazitelną linją i rozwija się w prawdziwy kwiat tanecznego piękna („Demon i wiara").

Partnerki i partnerzy tej świetnej pary, to wszyscy urodzeni tancerze. Czy będzie to wiośniana Alicja Halama, czy pełna nie zrównanego temperamentu i wdzięku Janina Leitzkówna, obie tańczące „w drugą parę" z Czesławem Konarskim, czy wkońcu W. Vetterówna, M. Fabisiakówna, F. Sadowski, J. Marciniak, T. Woliński i Z. Kiliński — wszyscy oni stanowią świetnie stańczony zespół, który legitymuje się nietylko wysokiemi walorami tanecznemi, ale, co równie ważne, niepowszednią urodą i kulturą artystyczną. Styl w noszeniu różnorodnych strojów, mimika i swoboda przechodzenia z tańca zespołowego do kompozycji grupowej, w której każda z tancerek i każdy z tancerzy jest indywidualnością dla siebie, zasługującą na specjalne podkreślenie.

Osobny rozdział poświęcić muszę Zygmuntowi Wiehlerowi, współtwórcy obrazów Parnella i zawsze niezawodnemu kierownikowi muzycznemu imprezy. Krakowianin z pochodzenia został na równi z innymi znakomitymi artystami wchłonięty przez stolicę, gdzie od lat zajmuje jedno z czołowych miejsc w szeregach czynnych muzyków. Pełen inwencji kompozytor i wytrawny kapelmistrz spotkał się też z należytą oceną swego talentu na Olimpjadzie w Berlinie, gdzie jury przyznało mu zaszczytny bronzowy medal.

Wiehler skomponował do pięciu obrazów Parnella muzykę, częściowo opartą na motywach ludowych. Najkapitalniejszą jest jego ilustracja do obrazu „Umarł Maciek, umarł...". W niej bowiem odnajdujemy nienaruszone piękno ludowej piosenki mimo formy, której modernistyczne wymogi w od niesieniu choćby do rytmiki i harmonizacji mogły zaciemnić przewodnią myśl kompozycji. Wiehler-modernista odezwał się rzecz prosta najdobitniej w obrazie „Zmysły i praca", w którym żadne uboczne względy nie tamowały rozwinięcia się bardzo wartościowej inwencji kompozytora.

Managerem „Baletu Parnella" jest p. Ortym, znany kierownik teatralnych imprez dziecięcych w stolicy, który zarazem odgrywa z talentem niewdzięczną rolę konferansjera imprezy.

Kraków, 3 października. **Juljusz Leo.**

To warto poznać..

NA SCENIE.

W **Poznaniu Teatr Nowy** daje przedstawienia na tak wysokim poziomie artystycznym, jakiego Poznań dawno nie oglądał. — **„Szklanka wody“** Scribe'a przygotowana została b. starannie i cały zespół gra ją wzorowo, a świetne kreacje dają Zaklicka (królowa). Relewicz-Ziembińska (księżna), Koronkiewiczówna (Abigail), R. Wasilewski (Bolingbrooke) i J. Balicki (Masham) — w **Teatrze Polskim** graną jest **„Tessa“**, a wkrótce gościnne występy rozpoczyna Maszyński.



„Szklanka wody“ komedja Eugenjusza Scribe'a została wystawiona ostatnio z wielkim sukcesem w Teatrze Nowym w Poznaniu. Na zdjęciu widzimy jedną ze scen sztuki z Zaklicką w roli królowej Anny i Jul. Balickim w roli Mashama. Fot. „As“

NOWE WYDAWNICTWO TEATRALNE.

Dyrekcja Teatru Wołyńskiego rozpoczęła bardzo pożyteczne wydawnictwo pisma okresowego, poświęconego propagandzie kultury teatralnej, którego nazwa „Logeion“ zaczerpnięta została z języka greckiego, gdyż tem słowem określano scenę. Celem pisma jest propaganda kultury teatralnej, a w nazwie pisma tkwi już charakter założenia pisma: O scenie, ze sceny (nie z widowni). „Logeion“ zapowiada wobec zagadnień teatralnych stanowisko bezwzględnej szczerości. Olbrzymią wartość tych zagadnień pragnie wydobyć na światło dzienne przez odkrycie rzeczywistej prawdy i dyskredytację obłudnego konwenansu, a podkreślenie jej społecznego waloru. — Pismo, którego pierwszy numer przedstawia się starannie, bogato i okazale, przynosi sporo ciekawego materjału i niewątpliwie będzie wartościową pozycją w naszem skąpem piśmiennictwie, poświęconem teatrowi. „Logeion“ podpisują A. Rodziewicz i Cz. Strzelecki. **(b).**

Z ESTRADY.

12-ty sezon koncertów w sali Konserwatorjum w Warszawie pod kierownictwem Henryka Markiewicza, obfitować będzie w ciekawe koncerty znanych wirtuozów, poza tem młodego pokolenia wirtuozów różnych krajów. Koncertować będą pianiści: Henryk Sztompka, Zbigniew Drzewiecki, Józef Turczyński, Bolesław Woytowicz. Raul Koczalski, Mieczysław Horszowski, Witold Friemann, Ryszard Werner, Kazimierz Kranc, Witold Małcużyński, Edwarda Feinsteinówna, Aleksander Wielhorski, Ray Lev (Filadelfia), Edna Iles (Londyn), Shura Cerkassky (New-York), Claudio Arrau, Witold Schiöler (Kopenhaga), Boveridge Webster, Nadia Reisenberg (Filadelfia), Imre Ungar, Emil Gilels (Moskwa), Henry R. Jackson (Waszyngton), Alfred Kitchin (Londyn), Juliusz Wolfsohn (Wiedeń); skrzypkowie: Wacław Kochański, Mieczysław Szaleski, Wacław Niemczyk, Szymon Bokman, Wiktor Winterfeld, Jacques Thibaud, Józef Szigeti, Efrem Zimbalist, Erika Morini, Leona Flood (Hollywood), Oskar Shumsky (Filadelfia), Henryk Temianka, Kerttu Wanne (Helsinki), Eugen Magid (Afryka płd.); śpiewaczki: Stanisława Korwin-Szymanowska, Waleria Jędrzejewska, Helena Lipowska, Dorothea Helmrich (Londyn), Aune Antti (Helsinki), Liesbet Sanders (Den Haag), Marina Kanklina (Ryga), Ffrangcon-Davies (Londyn), Edith Pohlner (Wiedeń), Simone Sigal (Zürich); flecista Callimahos, wiolonczelista Stefan Auber (Wiedeń), duet Thelma Reiss (wiolonczela) i John Hunt — fortepian (Londyn). Muzyka kameralna: Warszawski Kwartet Smyczkowy, Kwartet Duński, Kwartet Rothschilda i Kwartet Tryjesteński.

Łącznie liczba koncertów w sali Konserwatorium Państwowego w nadchodzącym sezonie przekroczy 100 wieczorów. Inauguracja odbędzie się w dniu 30 b. m. Program wykona znany pianista Henryk Sztompka.

NOWE KSIĄŻKI.

„Aforyzmy“ Karola Witolda Aleksandrowicza. Wyszła z druku miła książeczka, zawierająca zbiór wielce interesujących aforyzmów, świadczących o głębokiej inteligencji autora. Oto próbki:

„Nie wszystko, co się myśli, nadaje się do powiedzenia, ale wszystko, co się mówi, nadaje się do myślenia“.

„Ludzie, którzy są ciągle przy sobie, tracą czasem przez to, że nie są przy sobie myślami“.

„Modlitwa jest wybuchem tęsknoty do Najwyższej Istoty. Kto się nie modli, cierpi na brak temperamentu“.

„Prawo nadaje walce o byt między ludźmi pewną formę, która zresztą walki tej nie łagodzi, ale ją utrwala“.

„W życiu podobnie jak w plastyce jeden drobny szczegół pozbawia pewną całość martwoty“.

(mdd).

Starsi czytelnicy z pewnością z wielkiem zainteresowaniem przeczytają właśnie wydane w przekładzie polskim **„Listy miłosne Napoleona do Marji Ludwiki“**, opracowane przez Charlesa de la Roncière'a, a przetłumaczone przez Wacława Rogowicza. Jest to ten sam zbiór listów, który miał się ukazać na licytacji w początkach grudnia 1934, co wywołało olbrzymie poruszenie w świecie literacko-naukowym. 318 listów Napoleona do Marji Ludwiki pochodzi z pięciu lat: z dwóch miesięcy, które poprzedziły przybycie do Compiègne przyszłej cesarzowej, luty, marzec 1810; z podróży na Północ wrzesień, październik 1811; z kampanji rosyjskiej od lutego do marca 1814 i wreszcie z okresu, który nastąpił po upadku Paryża od kwietnia do 24 sierpnia 1814. **(b)**

NA NAJLEPSZEJ FALI

NIEDZIELA — dnia 11. X.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja Nabożeństwa z Krakowa.
10.30 Muzyka z płyt.
11.25 Koncert Berlińskiego Chóru Solistów pod dyr. Waldo Favre.
12.03 Poranek symfoniczny.
14.30 Koncert solistów.
15.30 „Audycja dla wsi“.
16.30 Fragment słuchowiskowy z dramatu „Czyściec św. Patryka“.
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie“.
19.00 „Sezon literacki rozpoczął się“ szkic literacki.
19.20 „Barwne dźwięki“ (płyty).
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
22.10 Koncert Kameralnego Zespołu Instrumentalnego K. T. W.
22.40 Muzyka taneczna (płyty).

PONIEDZIAŁEK — dnia 12. X.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „W jesienną noc na niebie“ — pogadanka dla dzieci.
12.03 Zespół fortepiaowy Ivory Koys i Karol Kullman.
12.40 „O niektórych trudnościach wychowawczych“: „Upór“ — pog.
15.15 „100 taktów muzyki“.
15.55 „Wszystkiego potrochu“ — audycja dla dzieci.
16.15 „Nowa pisownia“: „Wskazówki praktyczne“.
16.50 Koncert Orkiestry Mandolinistów „Halka“.
17.05 „Naprawa Rzeczypospolitej w XV-tym wieku“ — odczyt.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Recital śpiewaczy Wandy Rössler-Stokowskiej.
20.00 „Tańce polskie“ — w wykonaniu Orkiestry 58 p. p.
21.00 Słuchowisko p. t. „Pani zabija pana“.
23.00 Muzyka tenczna.

WTOREK — dnia 13. X.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkól.
12.03 Koncert w wyk. Zespołu Pawła Pawła Rynasa.
15.15 Fragmenty z op. Puccini'ego (płyty).
16.00 Stolica i jej sprawy.
16.30 Koncert w wyk. Kwartetu Salonowego Rozgł. Krak.
17.00 „Pomocnica domowa“ —odczyt.
17.15 Muzyka lekka.
19.00 Dyskutujmy: „Pracownik maszyną, czy współpracownik człowiek“ — odczyt.
19.20 Recital śpiewaczy Aune Antti.
20.15 Koncert Małej Orkiestry Polskiego Radia z udziałem „Czwórki Radiowej“.
21.30 Recital śpiewaczy Ignacego Weissenberga.
22.30 Recytacje poezyj.
22.45 Koncert w wyk. Kapeli Feliksa Dzierżanowskiego.

ŚRODA — dnia 14. X

6.30 Audycja poranna.
12.03 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
15.15 Koncert Orkiestry „Almar i Otten“.
16.10 „Zagadka historyczna“ — audycja dla dzieci starszych.
16.30 Koncert Zespołu Wiktora Tychowskiego i Jerzego Rosne.
17.00 „W walce ze szpiegostwem“ — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Wspomnienie pierwszego rektora Wszechnicy Wileńskiej.
19.00 „Nadęta konkurencja“ (pierwszy lot balonem).
19.20 Utwory Maurycego Ravela — (płyty).
21.00 „Opowieść o Chopinie“ — wieczór I.
22.30 Koncert rozrywkowy z Wilna.

CZWARTEK — dnia 15. X.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek dla szkół powsz.
12.03 Pieśni i tańce różnych narodów.
12.40 „Gospodarskie melioracje“ — pogadanka.
15.15 Śpiewacy Warszawy (płyty).
16.20 „Chwilka pytań“ — dla dzieci starszych.
16.35 Koncert Poznańskiego Zespołu Salonowego.
17.00 „Robotnik w Niemczech“ — felieton.
17.15 Recital fortepianowy Jakóba Gimpla.
19.00 Premiera słuchowiska p. t. „Wieczory rodzinne“.
19.30 „Imieniny Jadwisi“ — koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.10 Inauguracja sezonu Opery Warszawskiej — „Straszny Dwór“.
23.00 Muzyka taneczna.

PIĄTEK — dnia 16. X.

6.30 Audycja poranna.
12.03 Muzyka orkiestrowa (płyty).
15.15 Muzyka na instrumentach dętych (płyty-.
16.30 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.
19.00 „Józef Siwek“ (opowiadanie z ziemi Olkuskiej).
19.20 „Z pieśnią po kraju“
22.30 „Nowa pisownia“ — skecz.
22.45 Muzyka taneczna.

SOBOTA — dnia 17. X.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
12.03 Trio Salonowe Polskiego Radia.
14.30 Wesoła audycja dla dzieci.
15.15 Wiązanki filmowe (płyty „Columbia“).
16.15 „Humoreski i scherza“ — w wykonaniu Orkiestry.
17.00 Koncert solistów.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.00 „W dzień śmierci Chopina“.
21.45 Koncert pod dyr. Olgierda Straszyńskiego.
22.30 „Kometa Higginsa zbliża się do ziemi“ — wesoła audycja,
23.00 Muzyka taneczna .

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.